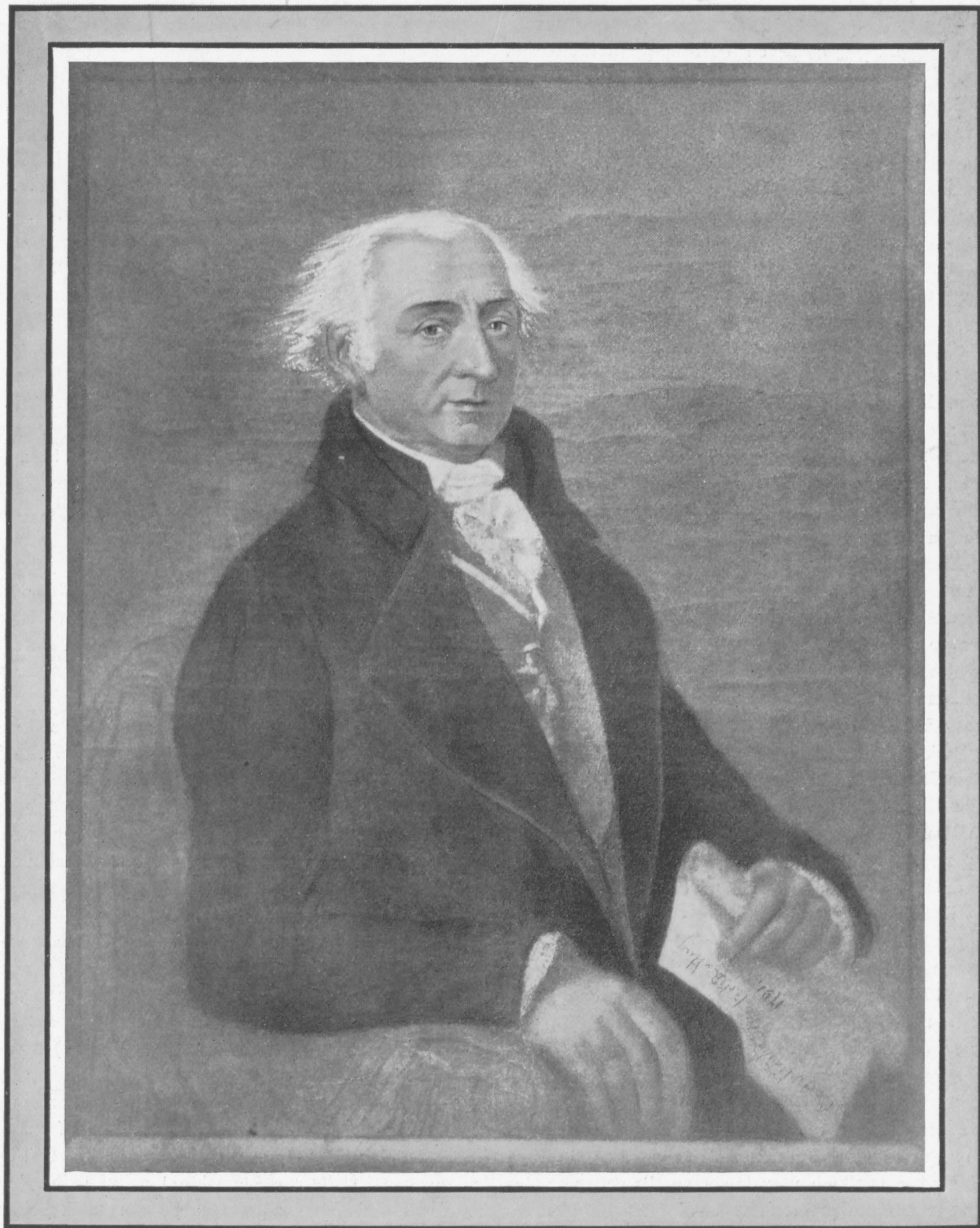
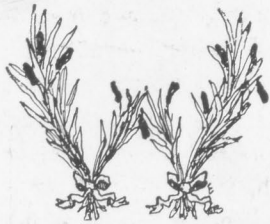


Wies' ilustrowana



Stanisław Nałęcz Małachowski (Marszałek Sejmu Konstytucyjnego).

ZAPOMNIANY RÓD.



szeregu wielkich i świetnych rodów polskich, zasłużonych wobec ojczyzny a dziś już wygasłych, bądź kończących się ostatnią, jedyną i gasnącą odroślą pnia rodowego, na szczególniejszą uwagę zasługuje jeden, którego dzieje i zasługi tak żywo dziś właśnie przywodzi na pamięć stuletnia Kołłątajowska rocznica.

Jest to ród Małachowskich, dom który wydał sławnej pamięci Stanisława, marszałka Sejmu Czteroletniego, jednego z twórców, wraz z Kołłątajem Konstytucji 3-go Maja.

Małachowskich było w Polsce rodzin pięć; pieczętowały się one Prusem, Gryfem, Grzymałą, Korwinem i Nałęczem. Ta ostatnia właśnie, najznacniejsza linja najwięcej się zasłużyła krajowi. Od r. 1699 spotykamy imiona Nałęczów - Małachowskich na każdej prawie karcie naszych dziejów. Stanisław, kasztelan sieradzki, wojewoda kaliski i poznański był właśnie w tym roku posłem Rzeczypospolitej do układow Karłowickich i jego to dzielności zawdzięczać wówczas należy zwrot wydartego nam przez Turków Kamieńca Podolskiego.

Syn jego, Jan, od 20-go prawie roku życia na usługach ojczyzny jako deputat trybunalski, poseł zagraniczny i na Sejm Grodzieński (1726), wreszcie kanclerz wielki koronny, pieczęć najdłużej po Zamoyskim, bo przez lat 27 dzierżył. Z małżeństwa z Izabelą Humiecką, która wniosła mu w posagu połowę ordynacji Ostrogskiej, zostawił czterech synów i pięć córek. Najwybitniej zaznaczył się wśród tego liczego potomstwa Stanisław, późniejszy Marszałek Sejmu Czteroletniego. W rządzie wielkich umysłów i cnotliwych serc, jakich ta właśnie przełomowa chwila dziejów naszych tyle jednak wówczas wydała zajął on jedno z najpierwszych miejsc, swoją wielką i gorącą miłością

ojczyzny, nieprzebraną dobrą wolą i bezinteresownym zaparciem się siebie.

Dotrwał do końca na stanowisku ciężkiem i trudnem i nie zawiódł zaufania z jakim go naród do tej misji powołał. Do ostatnich chwil sędziwego żywota pracował jeszcze dla kraju, sprawując urząd prezesa Senatu i przed śmiercią pełen cnoty obywatelskiej żywot przypieczętował chlubnym i podniosłym czynem, oddawszy swe znaczne dobra galicyjskie na potrzeby Księstwa Warszawskiego (1807).

Bracia jego — Jacek, kanclerz koronny, Antoni, wojewoda mazowiecki i Mikołaj, wojewoda sieradzki również nie odstąpili od rodowych tradycji.

Mikołaj Małachowski zostawił dwóch synów: Jana Nepomucena i Stanisława, posła do Stambułu w czasie Sejmu Czteroletniego, następnie generała wojsk polskich i senatora - kasztelana Królestwa Polskiego. Zostało po nim 3 synów: Gustaw, Juliusz i Henryk. Ten ostatni był dowódcą 3-go pułku ułanów, a potem (1831) strzelców konnych i odziedziczył rodowe gniazdo, dobra Końskie w Opoczyńskim, od czasów Jana, pierwszego kanclerza w rodzie, z największą pieczołowitością utrzymywane i upiększane. Dobra te przekazał hr. Henryk za życia swego jeszcze synom Gustawowi i Włodzi-



Hjacent Małachowski, brat rodzony Marszałka Czteroletniego Sejmu, Stanisława. Ostatni Kanclerz Wielki Królestwa Polsk.

mierzowi, czyniąc drugich dwóch Jerzego i Bolesława wierzycielami hipotecznymi ogromnej tej fortuny, obejmującej 903 włóki przestrzeni, (w czem samych lasów 624 włóki), miasteczko powiatowe, zakłady fabryczne (piece wielkie, odlewnie żelazne) i papiernia.

Czasy wstrząśnień politycznych nie przeszły jednak bez wpływu nad tą wielką rodziną i fortuną. Końskie wystawione zostały na sprzedaż przez Towarzystwo Kredytowe Ziemskie i nabył je hr. Jan Tarnowski z Dzikowa w Galicji, marszałek sejmu galicyjskiego i cioteczny brat właścicieli (córka hr. Stanisława M. senatora i generała była za Tarno-

wskim, druga za Pacem) — za niską nawet na owe czasy (1871 r.) sumę, 244,900 rb., czyli po 271 rb. za włókę. Ostatni potomek tego zasłużonego rodu, hr. Jerzy Małachowski, żyje obecnie w Warszawie, samotnie pędząc ostatek dni.

Rodem Nałęczów-Małachowskich zajmowali się tak wybitni dziejopisowie nasi, jak Walerjan Kalinka („Sejm Czteroletni“), który charakterowi i wielkim cnotom Marszałka Sejmu Konstytucyjnego, zwanego powszechnie „Aristidesem polskim“, oddał zasłużoną sprawiedliwie pochwałę.

Juljan Bartoszewicz skreślił też wyczerpujące i obszerne życiorysy Stanisława (Marszałka), Jana i Hjagenta (Jacka) Małachowskich, drukowane w Encyklopedji Orgelbranda (Tom 17). Sobieszczański zaś w tem samym dziele napisał biografję Jana Nepomucena Małachowskiego; wreszcie Wincenty hr. Łoś wydał w r. 1885 w Poznaniu „Pamiętniki Stanisława hr. Nałęcz-Małachowskiego, generała wojsk polskich, posła do Stambułu podczas Sejmu Czteroletniego, Senatora, Kasztelana Królestwa Polskiego“ — opatrzone krótkim rysem dziejów całej tej rodziny.

W „przypisach“ do broszury „Kazanie na uroczystych Exekwiach za nieśmiertelnej pamięci Stanisława Małachowskiego, Prezesa Senatu i Pierwszego Wojewodę Xięstwa Warszawskiego w kościele Katedralnym Krakowskim, miane przez X. Augustyna Lipińskiego, Kustosza Katedralnego Krakowskiego, dnia 26 stycznia R. P. 1810“ (Kraków, drukarnia Szkoły Głównej 1810) — znajdujemy jeszcze garść ciekawych przyczynków do życia „polskiego Aristidesa“.

Tak np. w czasie sprawowania swego trybunalskiego urzędu „uwiedziony raz z innemi sędziami obrotami jednego Patrona, a więcej jeszcze „z nieprzywiedzionych w czasie sprawy dowodów, „wydał dekret, który sam potem uznał za niesprawiedliwy; posłał natychmiast po skrzywdzoną stro-

„nę i kilkadziesiąt tysięcy, o które spór szedł, „z własnej szkatuły zapłacił“ (str. 10).

„...Od lat młodych, mimo panujących przesądów, lud rolniczy był najtroskliwszej jego pieczołowitości celem; przed laty jeszcze dwudziestu, „nadał wolność włościanom dóbr swoich, a chcąc „żeby nawet po zgonie jego trwały dobroczynności „jego skutki, oznaczył testamentem na każdy klucz „sumę 60,000 złotych polskich, której procent obróconym mieć chciał na utrzymanie dla włościan „lekarza i apteki“ (str. 14).

„...Gdy przy podpisaniu (przez króla) Targowickiego związku, król między innymi powodami

„do nieprowadzenia dalszego wojny przywodził „niedostatek Skarbu—oto „(rzekł Stanisław Małachowski), składam teraz „milion na zaradzenie temu niedostatkowi, a w „kilka dni złożę więcej. „A gdy niedawno Skarb „Xięstwa Warszawskiego „nie był już w stanie „niecierpiącemu kredytu „Dworowi Wiedeńskiemu „zapłacić za pierwszą dla „mieszkańców potrzebę, „to jest za sól, Stanisław „Małachowski przyszedł „itu na ratunek powszechności krajowej, „zapisując kaucję tych sum na „wszystkich dobrach „swoich“ (str. 29).

Pośmiertne specjalnie przyjazne i przyjacielskie wspomnienie poświęcił też Stanisławowi Małachowskiemu, bratankowi Marszałka Sejmu Konstytucyjnego, Kajetan Ko-

zmian w 1850 r., a 78 roku swego życia, dedykując je Annie z hr. Stadnickich kasztelanowej Małachowskiej, wdowie po Stanisławie.

„Należałem kiedyś do tych — pisze Koźmian w tym nigdy niedrukowanym wspominku, z autografu którego odpisałem te słowa*) — co troskliwość o sławę i zaszczyty narodowe wzięwszy za



Jan, syn Stanisława, Wojewody Poznańskiego i Lubomirskiej, Kanclerz Wielki Koronny za Augusta III, żonaty z Izabelą Humiecką, z którą miał 4 synów i 16 córek.

*) Wspomnienie to pod tytułem „Żywot Stanisława Nałęcz Małachowskiego, Generała Wojsk Polskich, Senatora Królestwa Polskiego“, w autografie Koźmiana znajduje się w posiadaniu żyjącego, ostatniego potomka rodu, hr. Jerzego Małachowskiego w Warszawie.

obowiązek sumienia, a za prawo nieskażoną pochlebstwem prawdę, nieomieszkali wystąpić z świadectwem swoim na kartę pism publicznych, ile razy śmierć nielitościwa osierociła Ojczyznę naszą z żyjących a godnych naśladowania przykładów cnót i według płci obojej. Przychodziłem w pomoc żalowi powszechnemu piórem i mową, aby ślady zaszczytów nie ginęły. Powszechność narodowa znajdowała w ustach i wyrazach moich swoje uczucia, swoje przekonania i dawała im ufność i wiarę. W obecnych nawet czasach (r. 1850) odważyłem się acz nie czerstwem, ale równie oględnym na obecne okoliczności piórem, kilkakrotnie się odezwać — ale pisma moje wchodziły na kartę dzienników publicznych tak obnażane i zmieniane, że ich pojąć i zrozumieć nie mogłem; lecz zrozumiałem zakaz i zamilkłem“...

Dla tych względów właśnie wspomnienie swoje o Stanisławie hr. Małachowskim pozostawił Koźmian

niedrukowane, poprzestając na ofiarowaniu go wdowie i rodzinie zmarłego.

„Żołnierz-obywatel“ — pisze on dalej o generale — „niebył pospolitem zjawiskiem w czasach, w których oręż przewodził, niewiedzieć czy z większą chwałą, czy z większym uciskiem kraju“.

„Ale chwalić w Małachowskim obywatelstwo, byłoby krzywdą jego imienia i ubliżeniem ceniom jego; mogę tylko powiedzieć o nim, że uznając obywatelstwo za przyrodzony swój obowiązek, umiał dojść w nim do doskonałości“.

Zasluga, zaszczyty, cnoty, dostojność i sława Małachowskich minęły. Ale nie zgasła wielka tego rodu pamięć nawet w zapomnieniu zstępnych pokoleń, tak bardzo zajętych troską o byt powszedni, że o przeszłości nie mają już czasu pamiętać.

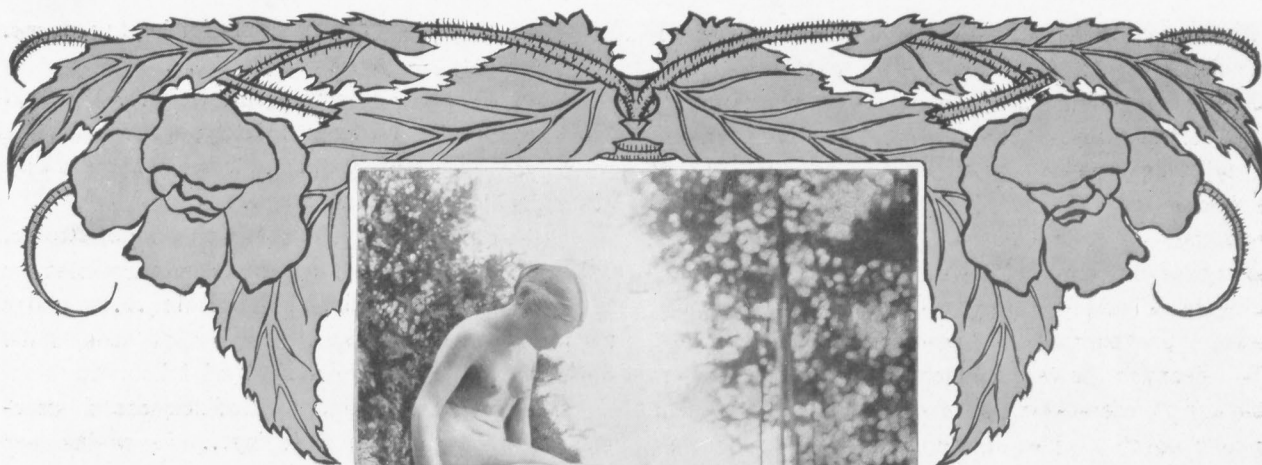
Ale pamięć ta jest; tkwi ona w dziejach naszych i jak one nieśmiertelność zyskała...

Bo dobro i zło mija — ale nie ginie nigdy...

S.



Peresieka. Dęby (fot. Jan Buřhak).



MAKI.

O maków purpurowych, kraśnych
maków kwiecie,
O usta całowane, drogie usta twoje!
Złote życia na oścież rozwarte
podwoje,
Słońce! Słońce w upalnym rozgo-
rzałem lecie...

Kazimiera Zawistowska.

Wpatrzyły się oczy
ciekawe do zu-
chwalstwa, prze-
sunęły się po ciemnych
włosach, białej szyi, po
czarownej linii bioder
i z zachwytem zatrzymały
się u małych nóżek, py-
tająco zuchwałę, jego oczy.

Z płomiennie - pąsowej,
luźnej sukni, wykwita główka, ładna jak z obrazu,
pani Lebrun o złotozielonych oczach i ustach czer-
wonych, jak wiśnie.

On wesół, radosny, piękny, patrzy na nią cie-
kawie.

Ona, doskonale udaje że go nie widzi, zajęta
polerowaniem paznokci.

W tę niemą scenę, wpadła złotowłosa, śliczna,
delikatna jak kwiat białej lilii dziewczyna.

— Tolu, coś taka zamyślona, nie widzisz pana
Henryka? — Poznajcie się.

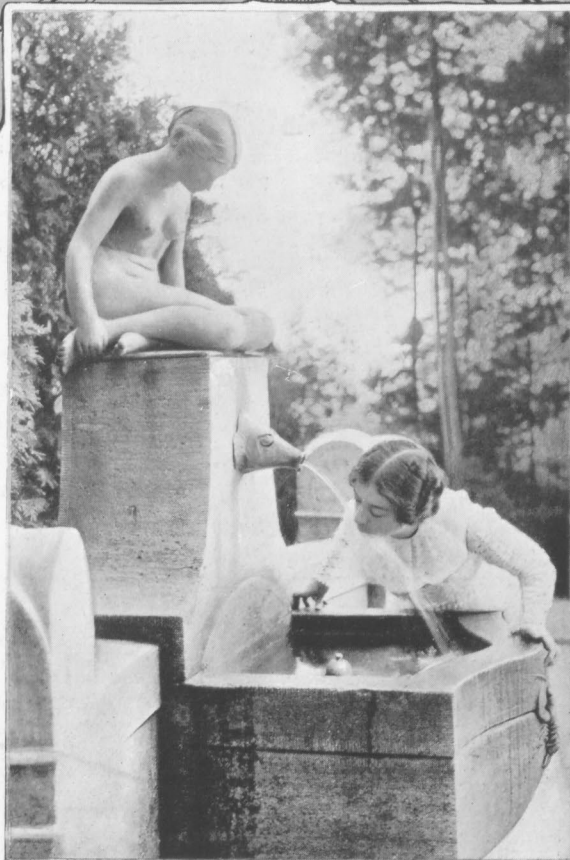
Na jego niski ukłon raczyła skinąć główką...
oczy patrzyły obojętne, niewidzące... Ugodzony
zwrócił się do białej dziewczyny.

— Panno Zosiu, możebyśmy zaprowadzili pannę
Tolę do lasu?

Tola poszła po parasolkę, zostali sami.

— Jak panu podoba się moja kuzynka?

— Niesmaczna... ubrana jak kokota i komed-
jantka, robi jakąś lodową królową, nie raczy pa-
trzeć, co przy wyzywającym stroju jest śmieszne...



„Przy studni“
(fot. z natury Jadwigi Zaleskiej).

Czemu ją pani tak lubi...
— Zosiu?

Głos mu załamał się,
drgnął.

Zosia zapatrzona w ja-
kieś dalekie marzenia swo-
je, podniosła na niego
słodkie, czarne oczy,
oświecone figlarnym
uśmiechem.

— Pan Henryk tra-
giczny...

— Zosiu...

Oczy jej gonią chmurę
białych motyli, tam nad
krzakiem różowym lew-
konji tańczących.

Święta... biała dziew-
czyna, twarzyczkę madonny pochyliła na ramię i my-
śli jej gonią radosne... cudne motyle. Słowa wy-
znań usta mu palą, lecz milczy, milczy... bo nie
wie, czy kocha duszę białej dziewczyny, czy to go-
rące złote lato...

Fioletowo-złoty odbłask słońca, padający od pni
sosnowych zerwał się, rozradował się jasnością
i okrył ciepłymi pocałunkami krzaki leszczyny...

Listeczki drgnęły i zaczęły z sobą coś szeptać,
jakieś opowieści mówić cicho... Potrafiły o kali-
nę dziewiczą, rosnącą tam przy polanie zielonej.

Kalina pochyliła się, jak dziewczyna w tańcu,
ku zielonej świeżej murawie, chyląc się musnęła
jasny warkocz dziewczyny, co stoi w słońcu i zie-
leni skąpiana, jak biały świeży kwiat, do piersi tuli
chabry radosne, w warkoczach ciekawie patrzą oczy
białych rumianków.

Z głębi polany, pędzi na ślicznym koniu Henryk.

— Panno Zosiu!..

Ręce spleły się, oczy mówią najśłodsze wy-



Szajkuny, gub. Wileńska. wł. E. Swolkienia. Dwor modrzewiowy. — Podjazd.

razy kochania. Zbyt wiele i natarczywie jej mówi, bo rzęsy opadły wstydliwie.

Nie śmie ustami dotknąć ręki.

— Zosiu...

Jak ptak zerwała się od kuszącej kaliny, jasny warkocz popłynął za nią, jak smuga świetlna.

Nieśmiało ustami dotknął lecący jedwab włosów... serce zabiło radośnie... Ta jego święta, czysta dziewczyna...

— Prędzej Zosiu, prędzej...

— Już tchu niemam...

— To nic, prędzej...

Dopadły wysokiego częstokołu kończącego park, serca biją mocno, tak mocno że aż twarze pobladły, a otwarte ze zmęczenia usta, nie mogą wyrzucić z falujących piersi gamy serdecznego śmiechu.

Psy przeszkadzają, skomląc radośnie, bo przecież one wzięły rekord wyścigowy, a tu panie ignorują ich tryumf i tylko mocno oddychają.

— Tolu, teraz musimy przeleźć przez parkan, wiesz to niemożliwe, suknie wąskie... niepodobna, lepiej wróćmy i pójdziemy drogą...

— Co?

Groźny ton Toli przerwał wątpliwości.

— A jak zrobić?

— Zdejmuj suknie.

Tola już jest nawpół rozebrana, czerwona lekka jak płomień, sukienka przewieszona przez ramię, a w oczach, pełnych śmiechu, niezłomna wola...

Zosia z radości tarza się po murawie, psy przeskakują przez nią, robi się hałas niedoopisania.

Tola srogim krzykiem chce to opanować, lecz pokonana wesołością towarzyski, pada na murawę i zaczyna ją mocno całować.

— Tolu, Tolu nie ściskaj tak mocno.

— Wstawaj, Zosiu...

— Tolu warkocz, Boże... Tola puściła warkocz złocisty, poczem Zosia z poważną minką, pierwsza zaczęła drapać się na parkan.

Po chwili już są po drugiej stronie, ubierają się szybko.

— Tolu, zbiłam łokieć...

— Pokaż.

Cała ręka Zosi od łokcia do dłoni pokaleczona, w słodkich oczach czarnych dwie małe łzy...

— Oj boli!

— Idź do strumienia drogą, a ja zbożem i spotkam się.

— Dobrze...

— „Ty pójdiesz górą, ty pójdiesz górą“, zaśpiewała i znikła na zakręcie.



Szajkuny, wł. E. Swolkienia. Kaplica.

Jak mak, wśród jasných pól, stoi na rowie zielonym i patrzy rozkochanymi oczami na pyszne pszenne fale, a one płyną do nóg dziewczyny — płyną moźne i przepychem cudu swego kłonią się szmerząc cicho...

Słońce ręce swe dobrotliwe, kładzie na pełnych rodnych kłosach i złoci kiście blado-zielone... Złoci promiennie — łaskawie... Moźne... królewskie słońce.

W tę młodą, bujną, czującą swą rozkosz i siłę, pszenicę w ten bogactwem haftowany łąn, jak w fale skarbów nieprzebranych idzie Tola... płomieniem czerwonym owinięta, śmiała, piękna, o oczach złoto-zielonych i ustach słodkich, jak wiśnie...

A fale silne... słońcem ogrzane, rozśpiewane, poszumnie zamykają się za piękną dziewczyną, biorą ją w swą moc... Kłosa sięgają ust, włosów, rozgrzewają gęźbą swoją, młodą krew, lecą myśli o marzeniu śmiałym, huraganne myśli... miłosnymi ramionami obejmuje kłosa złote, tuli do piersi radosnej i lży szczęścia mroczą oczy rozmarzone... I nie pragnie nic więcej, niech tylko te kłosa, szepczą jej bajki królewskie o szczęściu, o dumie, o miłości,



Szajkuny, gub. Wileńska, wł. E. Swolkienia. Dwór modrzewiowy od str. ogrodu.



Szajkuny, gub. Wileńska, pow. Świeńciański, wł. Edwarda Swolkienia. Modrzewiowy Lamus.

o uśmiechach nigdy nie widzianych, o spojrzeniach silnych i mówiących jej wszystkie kochania, o ustach słodkich śmiertelnie, o jakiejś śmierci radosnej, ślicznej w taki złocisty dzień. Idzie zahypnotyzowana złotem marzeniem pól.

Cichy okrzyk szczęścia, naraz wyrwał się z jej piersi. Jak sen o przepychu królewskim, rozczwieniły się młodością, cudnie płomienną, purpurowe maki... cienkimi miłosnymi łodygami przypadają

do kłosa i krwawymi płatkami swemi szepczą cichą bajkę o cudach... modlitewną pieśń, Słońca... Purpurowe... gorące... maki.

Dziewczyńce ręce drżą, wyciąga jak złodziej po skarb największy, bojaźliwie cicho i słoneczne upragnione kwiaty płoną już we włosach czarnych i na piersi tulą się zwycięskie...

Idzie tak w krasie swej pyszna jak boginka, cudnie młoda... wabna jak rozkosz, jak sen...

Już stoi przy drodze, jeszcze kłosa otaczają ją płaszczem złotym, a ona jak południca uzbrojona w kwiaty gorące — czarowna... tuli maki do łona.

— Boże, jaka pani piękna...

Henryk patrzy zdumiony, przez usta i oczy jego przeleciał płomienny odblask maków.

Patrz na siebie.

Oczy jej rozblęły się, już go uwięziły... za poprzedni chłód i zuchwalstwo, chcą go ukarać, upoić do zatracenia.

On, po raz pierwszy naprawdę widzi te kuszące grzeszne oczy. Tonie w nich upojony... pije rozkosz i czar i siłę, nie lęka się niczego... on piękny, zuchwały...

Przez długi czas, nie widziały jej te oczy bezcelne — więc niech się napatrzy tej kraszy.

On, widzi ją naprawdę poraz pierwszy.

Zuchwale, śmiałym ruchem młodości ręce po nią wyciągnął.

Błada, że świecącymi oczami fosforycznie, rozśmiała się głośno i rzuciła mu w twarz pęk gorących wilgotnych maków... Gdy kwiaty odjął od twarzy, była już daleko... daleko...

Jak fala go niesie... jak fala... idzie jak odurzony za każdym rozkazem Toli, płomieniem, owi-



Strzegocin. Czwórka pana E. Kurnatowskiego (fot. am. p. O. K.).

niętej, bladej, dziwnej dziewczyny... Ona go wabi jak innych, lecz częściej rzuci uśmiech tajemniczy i odleci, powiewna, nieuchwytna... boginka. Nerwy wypowiedziały mu posłuszeństwo, nieraz jak niewolnik spełniał jej najdziwsze fantazje, to znów rzucał cynizmem i pogardą w twarz. Oświadczył się Zosi z prośbą by go ratowała, bo on zabije tę rozzuchwaloną djablicę.

Nic nie pomogło, opanowywała go swym niepojętym urokiem... Groził, wyciągał ręce zwycięzki, wtedy pejcem odgradzała się od pocałunków, lub z pogardliwym słowem rzucała mu maki wiedzące...

— Zosiu, czy ty cierpisz przezemnie?

— Nie Tolu ja nie kochałam jeszcze Henryka, tylko czasami marzyłam o nim, teraz on biedny i mnie go żal, chwilami nie cierpię cię za niego.

— Ale ci przykro, że mną zajął się.

— Tak myślałam, ale on jakiś dziwny, on mnie postawił na piedestale i uważa za świętą, mówi że jestem jego tarczą i obroną, żal mi go, tak chcę żeby był szczęśliwy.

— Zosiu, ty kochasz piękno poświęcania się, niesienia innym serca, taka polska marząca dziewczyna... obudź się... zejdź z niebios... On tylko chwilowo zawrócił sobie mną głowę, on wróci do twego anielskiego serca i będzie się starał byś go pokochała, a ty, jeżeli zdołasz serce swoje, będziesz widziała w nim te zalety, których niema i będziesz brała jego zuchwalstwo za bohaterstwo.

— Tolu on ciebie kocha, a ty go tak nie lubisz?

— Ja chcę tylko żeby cierpiał, to jedno mogę od niego przyjąć. Tak zwycięsko śmiał po mnie ręce wyciągnąć, niech cierpi... nic od niego więcej nie żądam.

— Może ty go kochasz Tolu?

— Ja... Nie, jeszcze nie kocham nikogo i pewno tak przejdę przez życie... ja kocham miłość... całe piękno miłości, ten największy i najwspanialszy cud na ziemi, kocham ogrom tej wielkiej jasności, zwanej miłością... marzę, że kiedyś zabiję się z mocnego, jak śmierć kochania...

Światło księżycy pada na balkon, jasne i śmiertelnie smutne, z salonu dochodzi dźwięk fortepianu, Zosia gra barkarollę Czajkowskiego. Tola siedzi sama na schodach balkonu, patrzy daleko w świat... Stał rzeki świeci tajemniczo i smutno... oczy Toli zwały się naraz z tą smutną poświatą, powiedziała coś ona szalonej dziewczynie, bo już jest przy brzegu. Płynie... patrzy rozręsknionymi oczami w srebrzystą dal z bajki smutnej i marzy... Śni, słowa nigdy niesłyszane, jakiś rycerz czy człowiek piękny, inny, królewski, taki co jednym ochłannym spojrzeniem ogarnie jej duszę dumną i rzuci sobie do nóg... tylko takiego będzie kochała — ogarnie ją jak płomień to uczucie i zaprzęści... wtedy odbierze sobie życie, umrze, szczęśliwa... I widzi swoje oczy, zamknięte na wieki... białe ręce złożone nabożnie na piersiach, jeszcze bielsze i piękniejsze niż teraz, i wszędzie wokół trumny, kwiaty — najwięcej maków czerwonych, podobnych ranie śmiertelnej jej serca... W takim



Na Prypoci (fot. A. Orda).

szczęściu odejście do śmierci... I płacze Tola nad sobą, płacze z radości, że szczęście jej spełni się... kiedyś... Przypłynęła do zielonej nadrzecznej olszynki, ułożyła duży stos gałęzi i zapaliła, płomień zamigotał, rozwinął się chustą płową dymu lotnego i zachychotał wśród gałęzi wesoło.

Na tle łuny płomiennej, wśród wieńca dymu tajemniczego, u stóp srebrnej rzeki stoi wiotka postać dziewczyny, czarująca i taka tajemnicza...

— Sama... Sama...

Cicho podsunął się, pochwyił kwietną jej postać... przygiął mocno ku sobie...

Nad bladą twarzą Toli błyszczą zuchwałe jego oczy, ręce ściskają mocno, a usta słodkie, przy ustach Toli, tuż, tuż...

Za chwilę... napawa się jej widokiem.

Głosy zbliżającego się towarzystwa już słychać...

Naraz, jak wąż wykręca się z jego rąk, i śmiech szydery uderza go — jak spicrutą.

— Czemu mnie pan nie pocałował, panie Henryku?

On, zły, usiadł na murawie upokorzony raz jeszcze.

...Cicho... cicho jak żmija przypęzła do niego, białymi rękami objęła głowę, i nim zdążył pochwylić ją w ramiona, pocałowała go gorąco, cicho w usta... i znów szybko pobiegła do zbliżających się osób... rzucając mu pęk umierających maków, ciepłych od jej szyi i włosów...

Południe... Kłosa złote modlą się cicho—pyły kwietne unoszą się w powietrzu, cisza dzwoni szczę-

ściem, jakieś zatonięcie się, zachłystnięcie cudem złocistych pól...

Tola stoi wśród zbóż, ręce spływają wzdłuż sukni.

— Strzelę — zabiję cię jak psa.

Roześmiała się drwiąco.

— Tolu — oszalałem... kochana... zabiję cię... patrz, lufa rewolwerowa wprost cudnych twoich oczu, za chwilę będziesz widziała tylko śmierć. Ty djablico!..

Bez słów podniosła ręce do włosów, targnęła szpilkami, rozsypały się czarnym wonnym płaszczem, po ramionach, wyciągnęła ręce w przestrzeń.

— Zabij, ale wpierw napatrz się, rzuciła szydery.

Padł do jej nóg.

— Tolu przebac, błagam, oszaleję.

Całował stopy, miejsce na którym stała, czołgał się u nóg.

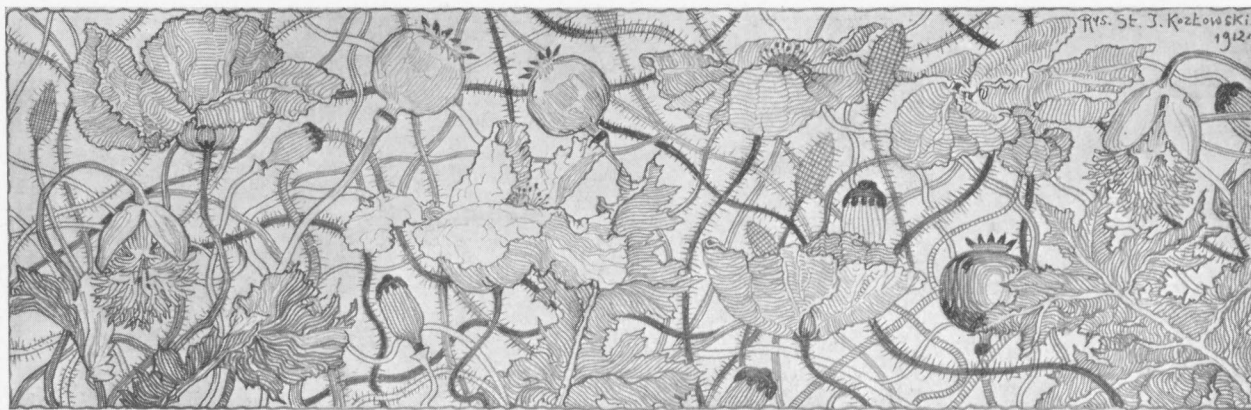
Uśmiechała się łaskawie do swoich myśli, nie patrząc na niego.

Za chwilę odbiegła i zanurzyła się w jasności złocistej zboża...

Rwie maki — płomienne, purpurowe pieszczotnie tuli... rwie królewskie kwiaty słońca...

Z pękiem czerwieni nad głową, zbliża się wolno ku niemu...

Rzuciła na zadatek kraśne kwiaty, a potem cicho... cicho wzięła głowę jego w swoje dłonie... i jej czarujące słodkie usta, legły na jego oczach smutnych. Potem usta mu całowała... gięła się wiotka, płomienna w rękach tulących ją



miłośnię... całowała go długo, długo... Lecz znów uwolniła się z rąk.

— Więcej nigdy nie zobaczymy się.

— Tolu...

Jak obląkany spojrział na nią.

— Jesteś trująca, jak ziele i kochana... słodka... Tolu...

— Zosia pocieszysz mnie... ukoj... zapomnisz o mnie, nie kocham ciebie... jesteś dla mnie dopełnieniem cudnego złotego snu... moich marzeń, wśród królewskośći tych pól.

W zdumione oczy jego rzuciła maki, świeże, płomienne, i cicho jak południca, w swej purpurowej lekkiej sukni, zniknęła wśród złotych kłosów.

WERA SKÓRKOWSKA.

Z CYKLU: KOBIETY NAPOLEONA I.

MAŁGORZATA FOURÈS.

W miesięczne blade noce przez pustynie senne pędzi przy boku wodza, ubiór generała, trójgraniasty kapelusz butnie na się wdziała. Śmieje się tak wesoła, jak bóstwo promienne.

Cały Kair, wodzowie, wojsko było lenne jej wdziękowi, zaś ona, piękna, złotowłosa, biała jak marmur, gibka, oczy, jak niebiosy — wabi go... kuszą usta przestodkie, płomienne.

Zwycięstwa, sława, przepych... dziwnie tajemniczo otaczał ich... jak tęcza słów Szeherazady. Lecz rwą się sny płomienne, upojne biesiady.

Powracają do kraju... Bez smutku gorzko rzucił ją... Ona innych wabi... ale w łonie wspomnienia szatu, nocy z baśni wiecznie płonie.

WERA SKÓRKOWSKA.

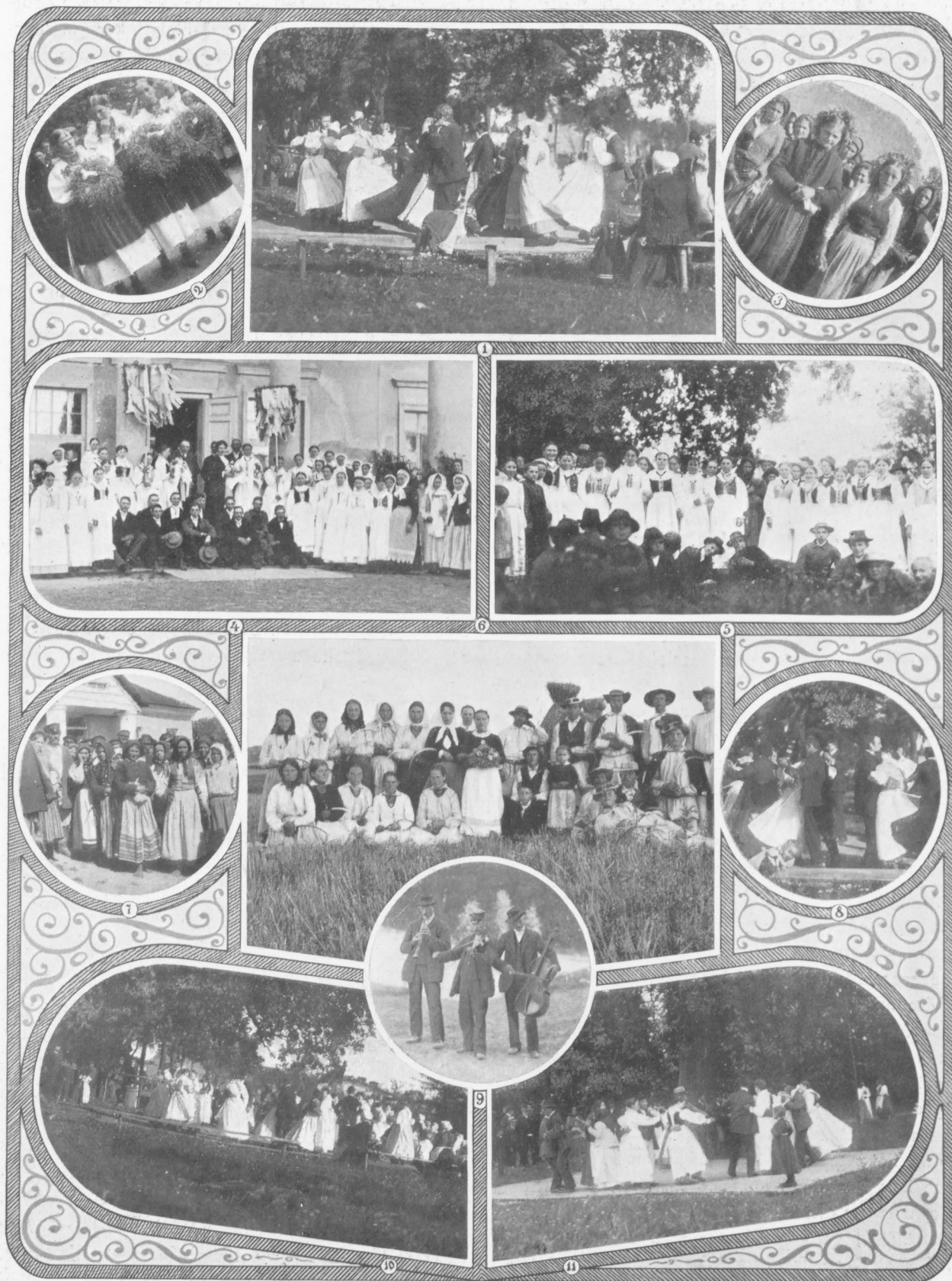


„Ołbrzymie powodzenie“.

(Z tekup. W „Lipkowskiego“).



Flirt na sianokosie.



1) Dożynki. — Piotronki hr. Ign. Bnińskich. 2) Okrężne. — Przodownice w Grotowicach u pp. Zdziarskich (fot. dr. Geynera). 3) Dożynki w Stubli na Wołyniu. 4) Piotronki hr. Bnińskich. Dożynki, — oddawanie wieńców przez przodownice. 5) Dożynki w Piotronkach. 6) Dożyliśmy pszenicy! Okrężne u W. Madeja w Lipiu. 7) Dożynki w Stubli na Wołyniu. 8) Dożynki w Piotronkach. 9) Piotronki hr. Bnińskich. — Orkiestra własna. 10) i 11) Dożynki w Piotronkach.



Dolina Ojcowska od wjazdu ze strony Olkusza.

OJCÓW.

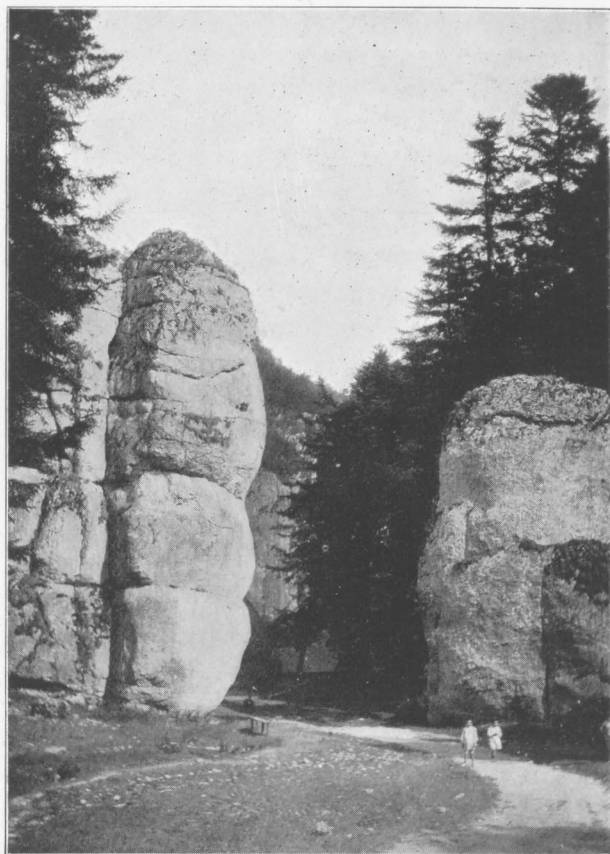
Gdyby istniało u nas specjalne wydawnictwo, zajmujące się zszeregowaniem graficznym, najpiękniejszych miejscowości naszego kraju, jedną z najpierwszych w nim kart zajęłoby musiał Ojców — ten uroczy, fantastyczny zakątek ziemi krakowskiej, oddawna nazywany „Polską Szwajcarią“, tak odrębny od ogólnego pejzażu polskiego, a jednak łączącego w swym wyłącznym charakterze wszystkie cechy wyraźne typu polskiej ziemi.

Leży Ojców w okolicy, której malowniczość jest właśnie cechą główną. Kraj pagórkowaty, przecinany wąwozami i parowami o brzegach i ścianach bądź zarosłych sośniną i brzezina, bądź bielejących w drobnych usypiskach wapiennych, bądź świecących żółtymi krzesanicami z szczerzej gliny, niesie na rozległym grzbiecie swoim faliste równie pól przelewających się po garbach pagórków, staczające się często stromo z ich zboczów na szmaragdowe w nizinie już zaległe płaty łąk, a wszystko to tu i owdzie ujęte w ramy lasów, ciemne i podpierające horyzont. Wsie tonące w zieleni sadów, tu i owdzie zaznaczone szpicem wieży kościelnej, gdzieindziej znów większą plamą drzew i zabudowań dworskich, folwarcznych, dają temu pejzażowi wyraźniejszy punkt oparcia dla charakteru, wprowadzając w pojęciu tej polskiej *par excellence* przyrody, pewność istnienia dopasowanego do niej ściśle człowieka.

Na takim tle labirynt różnych, szarawych, żółtawo-białym kurzem zasypanych dróg, wysadzonych gęsto płaczącymi brzozaami, zarosłymi lipami, kolumnami włoskich topól, delikatnie ufryzowaną jarzębiną, szumiącymi wiankami i wyniosłymi białodrzewami o srebrnym, kosmatym liściu — zbiega się koncentrycznie ku długiej linii ciemniejszych świerkowych i jodłowych lasów, która otacza ojcowską dolinę Prądnika. Dróżki dosięgnąwszy tej granicy urywają się w niej, wpadają w czarny gąszcz leśny; staczają się w zakrętach stromych na dół, na samo dno doliny, aż nad

wstążkę szaro-błękitną Prądnika.

Strumień ten płynie z północy na południe. Dolina jego koryta od Sułoszowej szersza, doszedłszy do Grodziska zwęża się nagle w dwa równo-



Ojców: Zakręt drogi Olkuskiej pod Zamkiem.

ległe szeregi skalistych ścian, wśród których płynie aż do Góry Zamkowej Ojcowskiej. Okrąża ją i wybiega dalej szerszym już ale jeszcze wąskim parowem, którym płynie aż do t. zw. Hamerni. Tu skręca w bok, na południe i wypływa na szerszą równinę pod Giebułtowie, by w okolicy pobliskich Januszowic i Trojanowic znaleźć ujście do Wisły.

Dolina wąska tej rzeczki zwie się właśnie Ojcowem. Właściwie nazywał się tak stary zamek na podłużnym grzbiecie góry wśród słupów skalnych zbudowany za Kazimierza Wielkiego. Inaczej zwano go jeszcze wówczas „Ociec“. Pobudowały się z czasem u stóp zamku ludzkie siedziby, powstało tak zwane Podzamcze, a dziś cała dolina nosi nazwę Ojcowa i należy doń kilka sąsiednich folwarków: Smardzowice, Czajowice, Bębło, Jerzmanowice, tworząc majątek rolny (dawniej starostwo), własność ks. Czartoryskiego, jako wiano żony jego, hrabianki Krasińskiej, córki Ludwika hr. Krasińskiego. Leży Ojców w powiecie Olkuskim, w gubernji Kieleckiej, w gminie Cianowice, a parafji Smardzewice. Od Krakowa dzieli go odległość 14 wiorst, od Olkusa — 19, od Wolbroma — 21, od osady Skała — 3 wiorsty.

Skały, tworzące ściany długiego wąwozu nad Prądnikiem, należą do formacji wapienia jurajskiego (dolomity), oraz wapienia koralowego wznoszącego się wyniosłemi, pionowemi słupami wysokości 30—60 m.

Ściany te, porośłe lasem i specjalną florą skalną, stanowią ogromnie fantastyczną i dziwnie uroczą, bo bynajmniej nie ponurą oprawę dla całej doliny, ożywionej Prądnikiem i rozsiadłemi nad nim siedzibami, urozmaiconej pojedynczemi grupami skał, wybiegłemi na środek doliny. Słońce dziwnie się łąmie na tych skałach, tworząc oryginalne kontrasty światła i cieniów podkreślone jeszcze przez stare i czarne prawie świerki i jodły, ożywione przez białe ściany willi i dworów, przez różnobarwne ich w zieleni tonące duchy.

Ogromny urok tej doliny, przypominającej dziką, górską przyrodę Szwajcarii do złudzenia prawie, ogromnie rozmaitej w kształtach, konturach, widokach, pełnej balsamicznych rzeźwych woni leśnych, ozdobnej ruinami zamku i noszącej na sobie piętno starych historycznych pamiątek — uczynił z niej dziś modne i piękne letnisko oraz stację klimatyczno-hydropatyczną.

Stary zamek „Ociec“ — dziś jest już w ruinach rozebrany ostatecznie w r. 1829 i obecnie znowu odbudowywany. Ze starej, pierwotnej struktury pozostała tylko brama wjazdowa sklepiona, w kształcie bastjonu z mieszkalną nad wjazdem komnatką i szczątkami blanków obocznych, oraz baszta głów-



Ojców: Wodospad Prądnika pod Hamernią.

wna ośmiokątna, z głównego korpusu zamkowego. Ruiny te dominują nad całą doliną. Do zamku prowadzi z jednej strony wjazd grzbietem góry, która kończy się właśnie wybiegającym w dolinę cyplem zamkowym, uwieńczonym i podpartym skalnymi słupami. Od tej strony była fossa, dziś zapuszczona ale nakryta i teraz jeszcze mostem drewnianym, ongi zwodzonym.

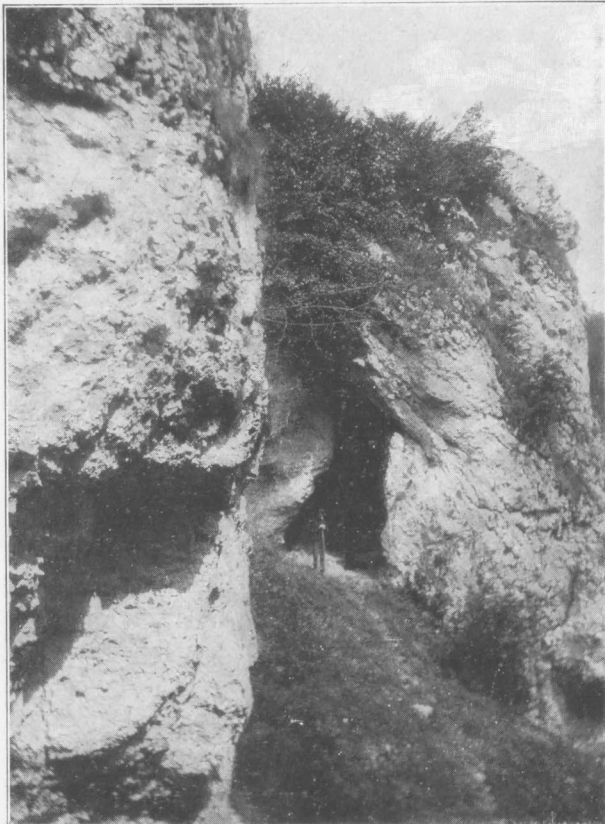
Zamek nie jest jednak główną historyczną pamiątką Ojcowa, choć odpierał on szwedzkie i austriackie szturmowanie i płonął w tych opresjach niejednokrotnie.

Ma Ojców grotty sławne, a właściwie jaskinie głębokie i te są najznakomitszą jego pamiątką. Ukrywał się w tych jaskiniach, a właściwie w jednej z nich, położonej na prawym, zachodnim brzegu Prądnika, w górze zwanej Chełm, król Władysław Łokietek, wypędzony z królestwa i tronu, przez Wacława czeskiego. Ukrywał się przed poszukiwaniami Ulryka Boskowicza, namiestnika Wacławowego nad krakowską i sandomierską ziemią (Długosz).

Od tej to sławnej, królewskiej tułaczki jaskinia w górze Chełm zwie się Królewską albo Łokietkowską. Leży ona na północnym zboczu tej góry, wysokiej na 1420 stóp (411 m.) n. p. m. i stanowiącej najwyższy punkt Ojcowa, z kądem w pogodę

czystą, wzrok obejmuje okolice w promieniu paru mil. Widać stamtąd wybornie Kraków, tak że można nawet wieże kościelne starej piastowskiej stolicy rozróżnić, widać i sine, ośnieżone szczyty Tatr. Na samym szczycie góry Chełm sterczy wyniosły krzyż.

Do jaskini wchodzi się z pośród skalnych zamków, maskujących otwór wejściowy, przed którym — leży mała platforma otoczona skalnymi ścianami. Jaskinia biegnie długim na 30 m. kurytarzem, zwęża się w szyję, skąd po drabinie jest zejście do niżej położonej obszernej galerji, gdzie właśnie była kryjówka królewska. Od sklepienia jaskini zwieszały się niegdyś liczne stalaktyty, dziś po większej części poodrywane „na pamiątkę“ przez turystów. W tej samej górze jest jeszcze druga jaskinia, zwana Czajowicką. Po lewym brzegu Prądnika (wschodnim) jest jeszcze jaskinia „Ciemna“ (za „Krakowską Bramą“), długa 80—90 m., szeroka na 25—30 m., a wysoka 15—18 m. z naturalnym słupem, podpierającym sklepienie, którą zwiędzał w r. 1787 Stanisław August i dlatego mylnie ją nazywano „królewską“ (ks. Piskorski—„Ojców“). Są i inne jeszcze jaskinie, a mianowicie „Kozia“ pod Pieskową Skałą, w lasach Czajowickich 3 mniejsze t. zw. „Jamki“ albo „Zbójeckie“, ze śnieżno-białymi sklepieniami; w lasach Jerzmanowic

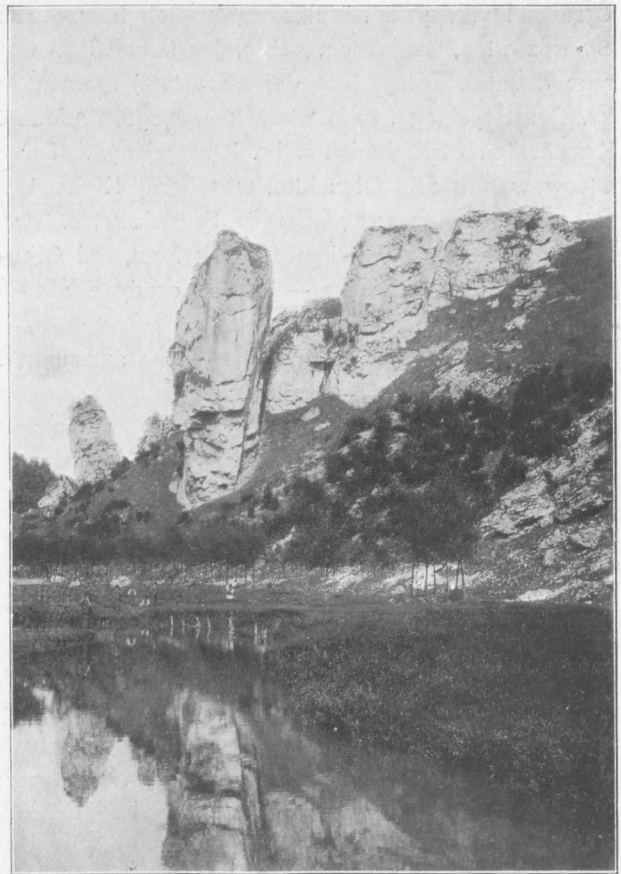


Ojców: Wejście do Jaskini Łokietkowskiej.

jest t. zw. „Jerzmanowska“, zwana też „Księżą Jamą“ albo „Nietoperzową“, w Wierzchowiu jest znów „Mamutowa“.

Opisywał te jaskinie, dość powierzchownie zresztą Rzączyński (*Historia naturalis Regni Poloniae* — pag. 29), badać je bliżej począł pierwszy Jan Zawisza, właściciel Ojcowa w r. 1872. Zbadał on wszystkie wymienione, a także 2 grotty Sąspowskie i „Okopy“. Znalazł w nich szydła i iglice z kości, narzędzia krzemienne i naczynia gliniane oraz dużo kości zwierzęcych.

Podług oceny prof. A. Ślósarskiego z Warszawy i prof. zoologii dr. Frassa ze Stuttgartu, kości

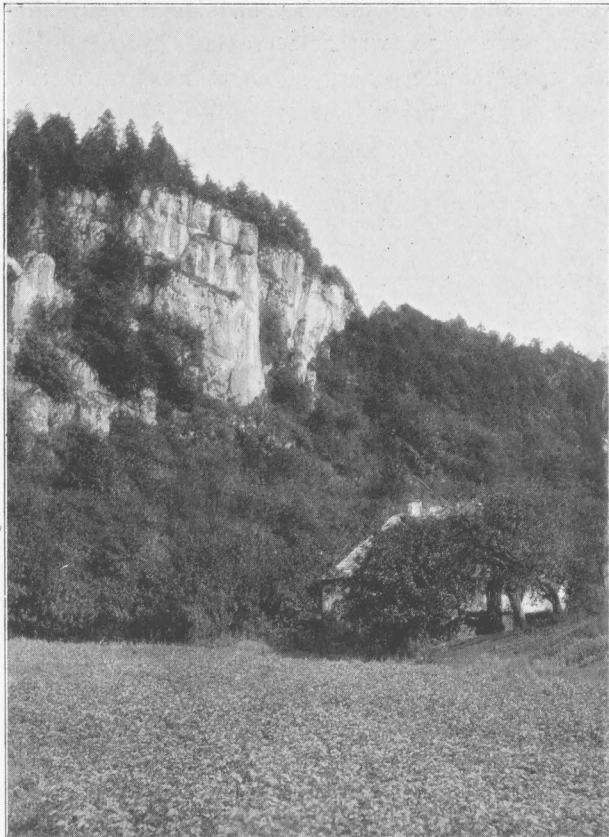


Ojców: Skały nad Prądnikiem.

te należały do 32 gatunków zwierząt żyjących w dolinie ojcowskiej w odległej epoce kopalnej.

Najważniejsze z tych gatunków są:

Mamut (*Elephas primigenius*), hyena jaskiniowa (*Hyena spelaea*), niedźwiedź jaskiniowy (*Ursus spelaeus*), niedźwiedź północny (*Ursus arctos*, bardzo rzadki), kilka gatunków jeleni (*Cervus alces*, *C. elaphus*, *C. tarandus* i *C. capreolus*), koń dziki pierwotny (*Equus caballus adamitus*), bawół (*Bos priscus* — tur?), dzik (*Sus scrofa*), wilk (*Canis lupus*), lis (*Canis vulpes*), borsuk (*Meles taxus*) — dalej odkryto jeszcze ślady zajęcy, myszy, gęsi



Ojców: Skąły Twardowskiego.

i ptaków błotnych, nieznanymi. Ogłoszenie w Niemczech tych odkryć skierowały pruską chciwość, na grunt ojcowski. Geolog wrocławski, prof. Roemer, wybrał się do Ojcowa i zbadawszy te bogate jaskiniowe pokłady, stanowiące znakomity środek stercoryzacyjny, zorganizował wywóz ich przez Kraków do Prus, a proceder ten zdewastował jaskinie Jerzmanowicką i Paczołtowicką prawie zupełnie.

W r. 1883 badał znany, polski geolog G. Osowski również jaskinie ojcowskie.

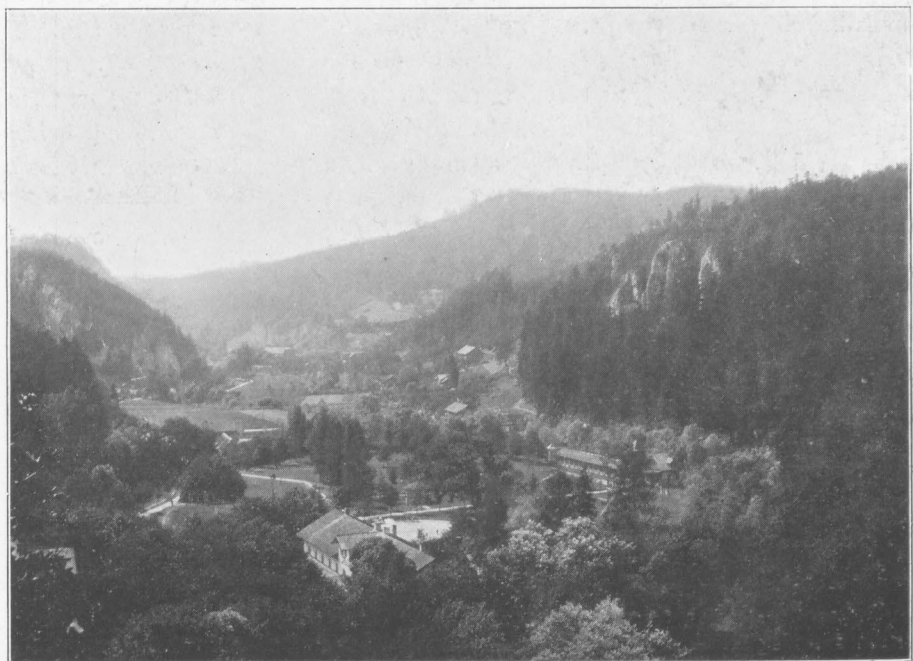
Flora ojcowska, zupełnie specjalna i bogata w niespotykane gdzieindziej gatunki opisaną została najpierw przez Willibalda Bessera, profesora uniwersytetu krakowskiego, w dziele „Primitiae Florae Galliciae“, w którym Ojców zwie on „Valis pulcherrima et plantis

raris ditissima“ (dolina wspaniale piękna, w rzadkie rośliny nadzwyczaj bogata). Z drzew rosną tu: jodła, sosna, buk, dąb, lipy, osiki, klony, iwy, jawory, czeremchy, modrzewie, trześnie, wiązy, tarnina, olchy, topole, jałowce olbrzymie i brzozy — zwłaszcza specjalny gatunek nazwany przez profesora Rostafińskiego „*betula ojcowiensis*“. Porosty skalne też rosną tu w rzadkich odmianach: (*Verrucaria calciseda*, *Variolaria lactea* i *dealbata*). Z roślin innych dużo też tu gatunków gdzieindziej niespotykanych (*Inula ensifolia*, *L. Inula conysa* D. C., *Atropa belladonna* L., *Petarites officinalis* Much., et *albus* Gaertn., *Arum maculatum*, *Carlina acaulis*), jak również z paproci (*Scolopendrium officinarum* Sw., (górska) *Aspidium aculeatum* Sw., *Botrychium Lunaria* Sw., *Asplenium viride* Huds.); z traw — *Nardus stricta*, *Molinia coerulea* Much., *Festuca glanca*, oraz oryginalna i rzadka bardzo ostnica piórowa (*Stypa pennata* L.), około jaskini Łokietkowskiej.

W Prądniku żyją dość obficie pstrągi i rybki *Cattus gobio* i *Cyprinus phoscinus*.

Fauna dzisiejsza Ojcowa, skutkiem przechodzenia tego majątku z rąk do rąk i dewastacji leśnej, nadto skutkiem zjazdu i przemieszkowania różnych gości, jest słabo reprezentowana. Zając, borsuk, lis — może gdzieindziej przechodnia sarna — ptactwo drobne śpiewające, leśne — oto wszystko.

Skąły Ojcowskie miały i mają różne nazwania: „Rękawica“, „Ptak“, „Skąły Twardowskiego“, „Ławki“, „Igllica“, „Kozienice“, „Latarnia“, „Strzałka“; u Bartoszewicza („Starożytna Polska“, Tom II,



Ojców: Widok doliny w stronę Sąsypowa.

str. 75) znajdujemy i inne, jak np.: „Kopuła“, „Popiersie Wreborza“, „Szabelka“, „Łaskowice“, „Pilarzowe skały“ i t. p. Hr. A. Przeździecki, za czasów, kiedy Ojców był jego własnością, ponazywał też niektóre grupy nazwami jak: „Świt“, „Adamowe Skały“, „Sybilla“, „Marja“, „Bohdan“ „Lirenka“, „Treny“, „Mohort“, „Dęboróg“, „Kozmian“, „Węzyk“, „Deotyma“ i t. p.

O źródłach ojcowskich, których w tej cudownej dolinie Prądnika jest bardzo wiele, pisał L. Zejszner w „Bibliotece Warszawskiej“ (r. 1860, tom I), odkrywając w badaniach rok wcześniej prowadzonych dziwną różnicę temperatury ich, mimo jednakich warunków położenia geologicznego. Prof. Bronisław Gustawicz potwierdził to spostrzeżenie w roku 1883, ustalwszy tę różnicę w granicach 7°—10° Celsjusza.

Cudowne położenie i wyjątkowy klimat, tej czarującej doliny, oddawna nęciły ludzi, skłaniając ich do częstego tutaj pobytu dla odpoczynku i zdrowia. Warunki te, dzisiejsze, praktyczne społeczeństwo wyzyskało, tworząc jak wspomnieliśmy wyżej, z Ojcowa stację klimatyczno-hydropatyczną. Wzniesiono dwa hotele: „pod Łokietkiem“ i „pod Kazimierzem“,

pobudowano dużo pięknych willi i domków dla letników, postawiono wreszcie zakład hydropatyczny „Goplana“, według najnowszych wskazań lecznictwa.

Gromadzi się teraz w Ojcowie każdego lata tysiąc i więcej osób, zjeżdżających tu na dłuższy pobyt; sale hotelowe brzmią muzyką i tańcem na wieczornych reunionach, pośród skał, świerków i jodeł błyskają kolorowe sukienki i „flanele“ snobów, których niestać na Ostendę, lub choćby tylko—Zoppoty.

Ojców stał się letniskiem „patriotycznym“—dla ludzi węższej kieszeni.

Są jednak i tam ludzie, co przyjeżdżają, bo im się tam bardzo podoba.

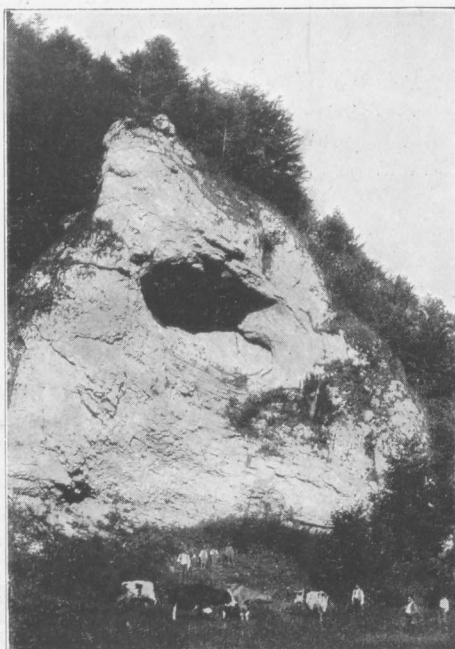
Wszystko to jedno.

Żaden snob miejski, żadna w fulary zdozna i męza poszukująca letniczka, nie zdołają tego czarownego zakątka polskiej ziemi zesześcić kategorycznie, nie zabiorą mu tego fantastycznego piękna i górskiej, dzikiej grozy, co rysuje się tajemniczymi śladami, przedpotopowych czasów i zdarzeń, na odwiecznych złomach skalnych, świadomych już od tyłu wieków ludzi i ludzkich, przemijających w ich cieniu spraw...

SZUMILAS.



Ojcowianka.



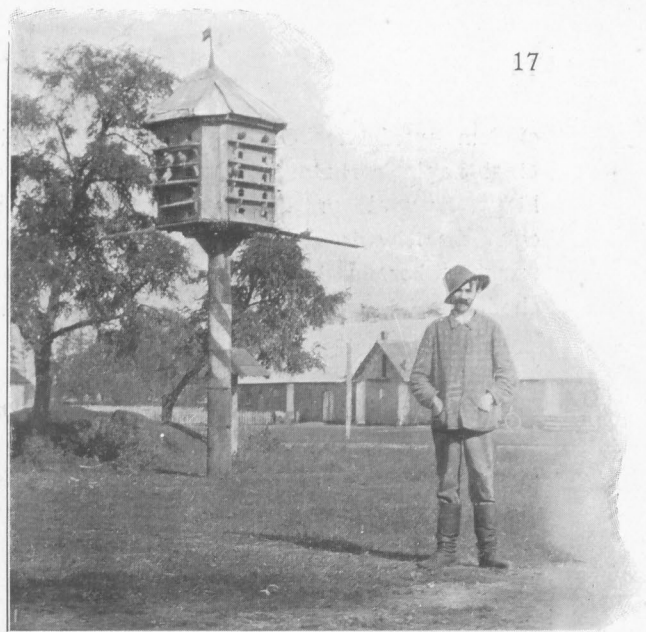
Wejście do Jaskini Czajowickiej.



Ojcowianka.



Sadownicy (fot. Stan. Maciejowski).



Głosków, pow. Grójecki (fot. Stan. Maciejowski).

TEŃSKNOTA.

Pożółkłe listki brzoź, ważąc się wolno w powietrzu, spływały na ścieżkę alei.

Strzępki złotej sukni Jesieni, zdarte igraszką porannego wiatru...

Ogromna, jakby z kawała olbrzymiego, akwamaryny, wycięta kopała niebios, wypełniona opalowymi falami świetlistego powietrza, mieniła się raz mlecznemi, raz złotawemi połyskami, drząc tysiącnym echem, szelestów przyziemnych, rosnących w rezonansie nagich pól, jak dźwięk zerwanej struny w doskonale akustycznej próżni starych, od początku świata mistrzowską dłonią ogranych skrzypiec...

Szły te szelesty ku mnie po chwiejących się wierchołkach młodych brzoź, budząc marzenia śpiące akordem z dalekich stron, jakby z minionych lat przygnanego wiatru — to znów konały mi nad głową, cichą gamą jasnego smutku, co roztopiał się w mlecznej pustce, umarłych pragnień...

Po kłębach suchych omiotów listnych, przetaczanych wiatrem na żółtych pręgach alei, począł zbliżać się do mnie milczący korowód tych umarłych moich...

Lekką, cichą stopą w bezszelestnych szatach, z których zapomnienie wyssało już barwę wszelką, szły...

Szły kształty pełne, strzeliste, z wieńcem kwiecia polnego na jasnych włosach, proste jak topole, dumne spokojną siłą krzepkich ramion, przeginając się w biodrach szerokich, rytmem cichym, jak dziewczyna z dzbanem czerwonych malin na głowie...

Pierwsze życia mojego, młodzięcych pragnień, chciwą dłonią zerwane, kraśne, upojne, dzikie jagody...

I szły dalej gibkie, wysmukłe postacie, całe w połyskach kuszących oczu, przesłonięte kaskadami kruczych, popielatych, miedzianych i złotych włosów; szły cichym, czającym się płasem, jak języki ogniste, jak dreszcze potężnych, nieodpartych żądź, jak upiorne bachantki, łakome szafu, spragnione gorącej krwi...

Toczył się na piersi moje, złudami przesycone ten kłęb Jesieni życia wskrzeszonych wspomnień i z ramion dźwigniętych ciekawością żalu wymykała się wnet ta roztańczona po suchych liściach farandola bezcielesnych już wizji... szafów umarłych już oddawna, a przecie nieśmiertelnych wiekuistym



Sadownicy (fot. Stan. Maciejowski).

głodem sytości... Od pustych, szarych pól przybiegł nagle rozbulany jakiś odprysk wichru dalekiego, w szalonym pędzie, jak odbity z tabunu ogier dziki, w drzewa nad głową moją uderzył, zatrząsł ich koronami i rzuciwszy w blednące przed zachodem powietrze zerwanych liści kłęb, pognął dalej.

Czerwony liść bukowy, przepaony letniem słońcem na płatek purpury, zakręcił się w wirze jak wytrysła pod ciosem szaleńca — wiatru, koralowa kropla krwi i na oczy mi padł...

I zasłonił mi orszak mar, co szedł na mnie z przedwieczornych mroków lasu. Z pod przymkniętej na poły liściem czerwonym powieki, widziałem już tylko ułamki marzeń dawnych, fragmenty ukochań najgłębiej w czeluście serca zapadłych — jasną krwią jego, czy liścia czerwonego na moich oczach stygmatem mieniające się, jak rubiny...

Widziałem oczy — oczy smutne, oczy rozmarzone, oczy jasne od łez kryształowych, oczy zimne z utajeniami piorunami milczących żądź, oczy harde, oczy wróżebne, oczy pokorne prośbą, oczy zapamiętałe, niszczące — oczy wierne...

I usta. Usta drżące, napęczniałe od szkarłatnej krwi, usta chciwe, usta dumne i zaciśnięte, które rozewrzeć pocałunkiem chce się za cenę życia — usta uparte, usta szydercze, usta nieczułe, wysysające serdeczną krew, usta milczące, co oddają się tylko jeden raz — na zawsze...

Serce — cichy i spopielały, gorzkich prochów pełen przedsiónek mojej duszy — skurczył się i ży-

mnął wstrząśnięty zimnym dreszczem jakby od lodowatego, włóconego weń po rękojeść sztyletu.

Gwałtownym ruchem zerwałem z oczu rubinowy, jesienny liść.

Chaotycznie zmieszany kłęb moich wizji oddalał się już i w cieniach leśnych nikt...



„Śmieszka“ (z teki Hali i Jany Chrzanowskich).

Wiosna i lato pragnień — upojenia, dosyty, szaleństwa roztopiały się w sinym zmierzchu...

Śladem ich szła wyniosła postać, jakaś ciemnowłosa, z podniesionem czołem, w srebrzystosinej szacie opływającej rzeźbiony, grecki kształt welonem utkany z księżycowej poświaty — odwróciła ku mnie twarz jasną i zobaczyłem oczy

wielkie, ciemne, mieniające się lśnieniem drżącym, pod wielkimi łukami brwi zgiętych w tajemniczą arabeskę smutku. Stąpała patrząc na mnie wstecz, a wiatr wieczorny sywał na jej głowę z góry suchy deszcz żółtych liści. Czepiały się te złote, brunatne, purpurowym deseniem znaczone strzępki kraju jej szat, spływały z cichym szelestem w ślady stóp, pisząc imię tej, co przeszła obok mej głowy, w ten wieczór jesienny szeptów pełen i wspomnień: Tęsknota...



Amazonka (zdjęcie p. E. Hussarzewskiego).

Z dalekich, srebrnych wód wstał opar biały i toczył się po zmierzchnych borach, po fioletowych wrzosowiskach, po nagich polach i pustych łąkach chłodną, milczącą, posępną falą jesiennego mgły.

A na niebie szarzącym wiatr pisał w oddali kształtami chmur imię tej, co do mnie przysła — Tęsknoty...

JUR.

Kraszewski i wiejski świat.

Dwudziestego szóstego lipca minęła stuletnia rocznica urodzin wielkiego pisarza, który nauczył społeczeństwo nasze czytać polskie utwory, wyparłszy niezliczonymi powieściami swemi z domów polskich książki francuskie.

Wdzięczne społeczeństwo dało Kraszewskiemu jeszcze za życia, rzadki a nawet u nas jedyny wypadek — dowód wdzięczności swej i uznania, urządzając mu w r. 1880 w Krakowie obchód jubileuszowy, jakim nigdy przedtem i nigdy dotąd nie zaszczycono polskiego pisarza. W bieżącym, rocznicowym roku pamięć jego znów święcona będzie i jest tu i owdzie uroczystymi wspominkami, nie tyle dla uczczenia cieniów zasłużonego pisarza, ile dla przypomnienia tym, co go już nie znali, treści tych jego zasług.

Bo wyrosło już pokolenie i wyrastają dalsze, Kraszewskiego nie znające. Powieści jego już się dziś nie czyta, w trzydzieści dwa lata po jego jubileuszu. W szkołach polskich w niższych klasach każą nauczyciele czytać już dzieciom „Króla Ducha“, a w wyższych same dzieci czytają „Dzieje Grzechu“. Przy takim tempie wykształcenia i studjów nad literaturą ojczystą czyż może znaleźć się jeszcze czas na czytanie „Starej Baśni“, „Maśława“, „Braci Zmartwychwstańców“ — a choćby „Rachunków“ Bolesławity?..

Korzeniowskiego i Kaczkowskiego przecież dawno już wyniesiono na strychy, na karm dla myszy — Kraszewskiego olbrzymią spuścizną zasłonięto pstrym parawanem, połatany przez całe zastępy naśladowców Zapolskiej, wyhaftowanym w nikle arabski szychem tanich wierszorbów, czepiających się pięt Wyspiańskiego, Tetmajera, Kasprowicza.

Młody Francuz znajduje zawsze czas na przeczytanie swego Dumasa, młody Anglik na swego Waltera Scotta. Tylko u nas można uważać się

za znawcę rodzimej literatury, nie przeczytawszy ani jednej książki, pisanej dawniej niż przed laty dziesięciu. Sądzę tedy, że nie zawadzi w rocznicowym roku przypomnieć sobie choć pobieżnie ten powieściowy świat pisarza, z którego książek dziadowie i ojcowie nasi tyle dobra i piękna i tyle wątku do myśli, tyle pamiątek w serca swe wzięli.

Posiadał Kraszewski tę gorącą, głęboką, niczem niewstrząśniętą miłość swego narodu, obejmującą jego przeszłość i przyszłość, zapuszczającą wzrok rozkochany, we wszystkie doby, szczegóły, skutki tej przeszłości, tulącą do serca wszystkie odłamy, warstwy, wyznania, wyżyny i niziny teraźniejszości, miłością zawsze czynną, śpieszącą z dłońią wyciągniętą,

gdzie było cierpienie, krzywda, rozterka. Po za jednostkami stworzonymi przez naturę na pio-



Żebracy. Typy Żmujdzkie.



Kazimierz Przerwa Tetmajer w Zakopanem, rozmawiający z najstarszym przewodnikiem Szymkiem (fot. amat. p. Jadwigi Zaleskiej).



Andryjanki pp. Gartkiewiczów, pow. bielskiego, gub. Grodzieńskiej. Most z gośćmi na rzece „Leszczce“ w ogrodzie.
(Ze zbiorów amat. Gartkiewicza).

w zapomnieniu o tym poddanym chłopie, lub zbyt troskliwa o niego pod pewnymi względami pamięć — to tło zwykle w tych powieściach. Ale wyraźniejszą, realną ich wartością jest idealistyczna i idealizująca psychologia charakterów. Kraszewski w tej dziedzinie wprowadza zawsze w osnowę utworu czynniki, które radby w życiu ludu widzieć naprawdę. A więc samodzielne i samorzutne odruchy duszy, budzącej się zawsze w najcięższej doli i świadomej zupełnie nie tylko własnych sił i obowiązków, ale stosunku swego do reszty świata („Jaryna“ — „Chata za wsią“).

Ideologia to wzniosła i dobroczynna.

Jeżeli literatura przyczyniła się kiedy w Polsce do poprawy wzajemnych stosunków społecznych pomiędzy dwoma warstwami, to właśnie przez takie powieści, przez późniejsze, gorące próby Jeża.

Jeszcze wyraźniej wystąpiła ta ideologia w powieściach historycznych, gdzie Kraszewski niekępowany już żadną obserwacją, własną czy cudzą, żadnym faktycznym dokumentem obyczajów i sposobu życia, pełną garścią czerpać mógł z fantazji.

Kmieć stał się u niego odrazu czemś w rodzaju zaniedbanego, niedocenionego patryarchy tej ziemi ojczystej. Stał się prawie symbolem jej żywiącej,

niespożytej siły, kapłanem zagona i niskiej strzechy; historycznie wskrzeszonym Piastem.

Wskrzesił zupełnie faktycznie, zupełnie realnie tę postać przecież Kraszewski w „Starej Baśni“. I uczynił to tak plastycznie, tak wyczerpująco, tak konkretne tło dał tej całej wspaniałej legendzie, że próby odtwarzania tych zamierzchłych czasów fantazją myślową u tych, co „Starą Baśń“ czytali ani na włos już nieodbiegają od skreślonego w tej powieści obrazu. Dzięki Kraszewskiemu, legenda naszych narodowo-państwowych początków nabrała ciała rzeczywistego, nabrała siły życia, koloru prawdy. Jak silne, jak zupełnie ściśnięte w konturze i w plastyce szczegółów jest to wrażenie dowodzi fakt, że „Stara Baśń“ ożyła potem znów w mistrzowskim rysunku Andriollego, a cokolwiek komuś podoba się mówić o ogólnym walorze tego artysty w sztuce, niepodobna przecież zapomnieć i przeoczyć, że właśnie takie artystyczne pojęcie bohaterów „Starej Baśni“ jakie on dał, jest najtrafniejsze i najwięcej odpowiada marzeniom o nich zarówno jak charakterystyce tych typów w cudownej powieści Kraszewskiego.

Cała kmieca zagroda starego Wisza, on sam, sędziwy patryarcha, postać jakby ulepiona z rodnej ziemi ojczystej i z ziarna kłosów pszenicznych, po-

ważna wiekiem gubiącym się w przeszłości, w cichej historii chlebnego zagona, dostojny pracą na nim i dumnej falą złotego pokłosa plonów co z tej pracy, z trudu całego życia jak morze ogromne wyrasta — jego córy, dziewy piękna, jak boginki pogańskie, czyste jak oddechy lasów żywicznych, wyniosłe i gibkie jak młode jodły — cała rodzina, wszystka czeladź, słudzy, chudoba cała, ogromna ze stad wielkich złożona, dom ten cały przedhistoryczny a tak wyraźny, taki lechicki, kmięcy, taki olbrzymio drewniany, że czuć niezgłębione bogactwo puszczy w jego ścianach zakłęte... wszystko to razem składa się na obraz niezwyklej siły, tem większej właśnie, że w szczegółach tak rzeczywistej, tak realnie pojętej i traktowanej.

Dopełnia tego obrazu najzupełniej przecież wiejskiego z przedhistorycznych zaczątków wsi polskiej — Dobek. Znowu ziemianin. Prototyp tężyny szlacheckiej, szlacheckiego temperamentu i tych szlachetnych rycersko-obywatelskich pierwiastków, które Kraszewski chciał zawsze w sercu szlacheckiem znaleźć, które malował potem nawet na tle zepsucia obyczajów w typach upatrzonych na przeciwwagę zła, z wy-

jątkowo wyraźną życzliwością, z widoczną chęcią wpajania tego wzoru w pojęcia rodaków.

A spójrzmy teraz na przeciwstawienie przy jasnej, świetlanej stronie obrazu: w tonie czarnym, groźnym, posępnym wznosi się nad tą słoneczną plamą „mysza wieża“ Kruszwicka — olbrzymi „Stołb“ Popielowy, słupem czarnym odbijający się w cichem zwierciadle Gopła.

Wisz, Dobek, Piast — Przeciwno nim Popiel; Diwa przeciwko żonie Popiela; Smerda, starszy pachół Popiela przeciwko kmięciom lechickim. I w całym tym wiejsko-grodowym puszczańskodworskim, kmięcopańskim świecie przedhistorycznej Polski stoi rzucony w nią jak wąż rajski niemiec Henga. To już prawie symbol. Prawie wróżba. Prawie ostrzeżenie. A światło i cień w tym obrazie załamują się tak potężnie jak w genialnych rysunkach Gustawa Doré. Przypominam



Pani Bobrowa w późniejszym wieku.
(Miniatura ze zbiorów p. Jadwigi Zaleskiej ze Skazimiec).

sobie jeden taki rysunek: Dawid z głębi niedostępnej, czarnej przepaści pokazuje Saulowi, odcięty w nocy u jego łoża, szmat jego królewskiego płaszcza. Widać na tym rysunku złote, przepotężne słońce i beznadziejną czarność nocy. Tak samo silne kontrasty zawiera „Stara Baśń“.

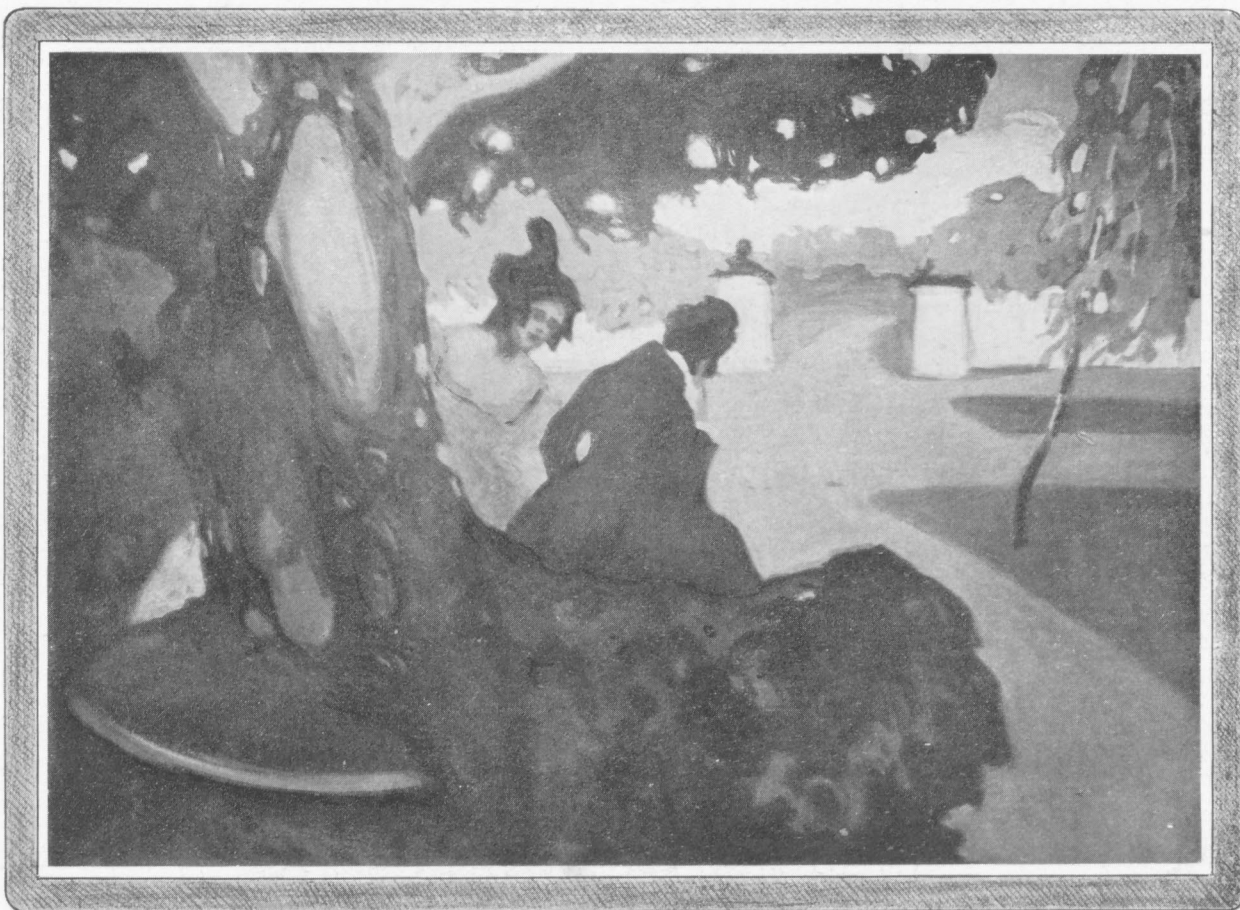
(Ciąg dalszy nastąpi).

TAK CICHOO...

Słyszysz jak bije serce cicho, cicho,
Jak chce zataić, jakie w niem wrą burze,
Jakie zrywają się wichry ogromne
I jakie łkania rozpaczne i krwawe,
Jakie tęsknoty słodkie a bolesne
I jakie dziwne i śmiertelne dreszcze
Wstrząsają biednym, małym ludzkim sercem...
Kiedy sercu smutno i żałośnie,
Kiedy łka i płacze, nie wie czemu,
Wtedy czeka jakiejś białej dłoni,
Co kwiatowi podobna złotemu
Oczy smutne mgłą rzewną przestoni,
Kwiaty szczęścia mu rzuci miłośnie
I zanuci pieśń cudną o wiosnie
I zawiedzie na szczyty, na szczyty,
Kędy chmury stopami się depce

I nie widzi nic, jeno błękity
I precudne kryształne powietrze
I podniebne, harde orle lody,
I o szczęściu śni cudny sen złoty...
Dlaczego nieraz, kiedy człowiek chciałby
Na czyjejs piersi złożyć skroń znękaną
I mówić ciche i rozpaczne słowa
I wszystkie swoje smutki wypowiedzieć
I wszystkie swoje wyplakać wątpienia,
Wszystkie rozpacze i wszystkie nadzieje,
Dlaczego wtedy opadają dłonie
I usta dumnym zakrzepną milczeniem
I żadnym słowem obrazić nie śmieją
Tej wielkiej pustki i tej wielkiej ciszy,
Która wślad idzie za wielką boleścią?...

ALINA.



JESIEŃ.

(PASTEL).

Dwór pani Eleonory Zadorskiej nazywano powszechnie „pałacykiem z pianki cukrowej”. Pan Zadorski wybudował sobie to cacko przed piętnastu laty, przywiózłszy wzór dla niego z długiej podróży za granicą. Oryginał pałacyku, własność księcia Farnese pod Weroną, tak zachwycił Zadorskiego, że nie szczędził trudów ni kosztów, aby wierną kopję włoskiego cacka wznieść w swoim majątku. I gdy w środku starego parku stanął już „pałacyk z pianki cukrowej”, i po wspianiem poświęceniu rozjechali się sąsiedzi i znajomi, i Zadorski został sam, doszedł do przekonania, iż w pałacu wieje pustka, że temu martwemu cacku brak duszy — kobiety... I stropił się, że ma już lat pięćdziesiąt, i że z wyszukaniem żony, dorównującej pięknnością temu pałacowi, będzie znacznie trudniej, niż z jego wybudowaniem. Bo przecie musiała być piękna. Wszystkie niewieście portrety rodzinne dowodziły, że Zadorscy poślubiali zawsze kobiety piękne, pełnej rasy, słynne z urody.

Czyż zresztą mogła w takim pałacu królować — brzydka?..

I znalazł, raczej wyszukano mu taką, jakiej pragnął. Panna Eleonora Durbanowicz, córka zamożnego właściciela ziemskiego na Podolu, miała lat 24. Znawcy twierdzili, że jest typem czystej Włoszki, inni zapewniali, że do złudzenia przypomina Hiszpankę, byli i tacy co opowiadali, iż ta cudna twarz to spadek po babce Gruzince, słynnej niegdyś z swej urody... Wszyscy jednak zgadzali się na jedno: że panna jest niezwykle piękną. Wprawdzie były i głosy, iż panna jest zimną kokietką, że czeka aby swą pięknnością zrobić doskonałą partję, że kochało się w niej kilku, lecz ona unieszczęśliwiła ich swym chłodem i brakiem serca — ale któż nie ma zawistnych i zazdrosnych, tem więcej kobieta tak piękna?

Zadorski niedługo cieszył się posiadaniem tej pięknej żony. W dwa lata po ożenieniu się, nabił się na polowaniu złośliwego zapalenia płuc,

z którego nie potrafiły go wyratować i największe powagi lekarskie.

Panią Eleonorę czekał i drugi cios. W pół roku później umarł jej ojciec, a młoda wdowa wzięła do Zadorowa swą matkę i w dwie zamieszkały w pałacu. I minęły dwa lata, a pani Eleonora, ku ogólnemu zdumieniu, nie śpieszyła się wcale z powtórnym zamążpójściem. Rozdała przez ten czas dużo kosztów i trwała uparcie w swym wdowieństwie. Dlaczego? Łamano sobie głowy nad tą zagadką...

...Dziś — pierwsze przyjęcie u pani Eleonory, po jej dwumiesięcznym letnim pobycie w Via Reggio. Przyjechała z matką z zagranicy dopiero przed tygodniem. Wrześniowy wieczór był pogodny i ciepły, to też całe towarzystwo przeniosło się na werandę, gdzie podano czarną kawę. W salonie została gospodyni, uproszona przez gości do zagrania na fortepianie. Grała koncertowo, zachwycała precyzją i zrozumieniem — miała talent. Prócz cudnej pani, zasiadającej w tej chwili do pysznego Bechsteina, został tylko pan Adam, który stanął tuż przy fortepianie.

— Czy wolno mi zostać tutaj? — spytał cicho.

Zajrzała mu na chwilę w oczy dziwnym spojrzeniem, swych aksamitnych źrenic. — Wolno — odparła krótko.

— Dlaczego pani moja taka dziwna, źle usposobiona?

— Ja? Zdaje się to panu... — i uderzyła pierwsze akordy. A gdy skończyła, i przez szerokie, otwarte drzwi posypały się z werandy oklaski, Adam mówił:

— Nie grała pani tak, jak nieraz. Dziś czuło było jakiś przymus, zdenerwowanie...

— Nic dziwnego — odcięła — to już zasługa tylko pana!

— Czemże ja tu zawiniłem?! — załamał ręce.

— Zdenerwował mnie pan swym dziwnym wzrokiem. Cały wieczór wpatruje się pan we mnie tak, jakby conajmniej...

— Niech pani nie kończy — przerwał jej pośpiesznie — Via Reggio zabrało mi panią. Tylko to mówiły dziś moje oczy, i pani to zrozumiała.

— Via Reggio?.. — zaśmiała się dziwnie.

W tej chwili wszedł ktoś do salonu, prosząc o pieśni Szumana. Kazała Adamowi wyszukać nuty, a on podając je, zapytał:

— Wolno mi prosić o jedną wielką, ostatnią łaskę?

— Słucham.

— Jutro o piątej po południu — tam, na naszej ławeczce — błagam!

Coś się zapaliło w czarnych aksamitach oczu, i zaraz zgasło.

— Dobrze — odpowiedziała po krótkim namyśle.

— A teraz mogę już pewnie odejść... tak?

— Dobrze — uderzyła go twardym spojrzeniem.

A potem zaraz popłynęła słodka melodia Szumana, z pod jej białych palców.

Adam czuł, że powrót do towarzystwa byłby mu teraz nieznośną męczarnią — więc przeszedł szereg komnat i zeszedł schodami do parku. Tu opadł ciężko na ławkę.

Było cicho — tylko dźwięki muzyki dobiegały z całą wyrazistością. I leż wspomnień przywoływały te melodie... Przesuwały mu się teraz przed oczyma, długie szeregi słodkich obrazów, upojnych wizji, chwil niezapomnianych — z tak bardzo niedawnej, a przecie już tak odległej przeszłości.

„Przeszłość“! — Wstrętne, trupie słowo... Ono znaczy, że coś już umarło, skończyło się, odbiegło od nas na zawsze...

Więc jego słoneczne chwile kradzionego szczęścia, są też już przeszłością. Jego szczęście — to już nie rzeczywistość, — to dziś jeno mara, wspomnienie. Między nim a radością jego życia, stanął nieprzebrany, nieubłagany mur, który zwie się: przeszłość...

Adam przed rokiem kupił majątek przylegający do Zadorowa. Zaczęło się sąsiedzka znajomością — po kilku wizytach zakochał się w Eleonorze bez pamięci. W czterdziestym roku — w początkach jesieni życia, — gdy się ma serce nieprzeżalone miłostkami, nie wystudzone ciągłym flirtem, nie spalone w ognich chwilowych namiętności, — przychodzą takie uczucia, zwykle ostatnie w życiu. Uczucie to chował zazdrośnie w najtajniejszym zakątku duszy, niby najrzadszą perłę drogocenną —



Kotek faworyt
(*fol. hr. Polenta-Wolmerowej*).

dopiero przed pięciu miesiącami, gdy przyleciał pierwszy powiew wiosny, przyszła chwila nieodparta, i musiał jej wyznaczyć swe kochanie. I miał pozory jej wzajemności. Pozory — bo cóż u takiej kobiety mogło być pewne, niezawodne?.. Bo wolno mu było tonąć oczyma w przepaściach jej oczu, a jej twarz była zawsze wtedy jednym uśmiechem szczęścia, i pozwalała przypadać jego ustom do swoich, z granatu wyciętych ust, i mówić najgorętsze, najszałeńsze słowa... Czyż to nie były wody, prawie pewność — wzajemności?

Aż raz — w półszaleństwie uczuć, półpijaństwie zmysłów — stał się Cud...

Sama myśl o owej chwili, obejmowała go i teraz nieopisanym upałem i mrozem szczęścia...

A potem — po owej najcudniejszej dla niego wiosnie życia — nastąpiło brutalne przebudzenie ze snu: jej nagły wyjazd. Listy Eleonory były początkowo dość częste, nawet gorące — potem zimniejsze, dziwne, coraz rzadsze, coraz kapryśniejsze... Taka codzienna, stara piosenka...

A dziś? Dziś siedzi tu sam, i mówi nad czymś co umarło, żałobne słowa:

— Skończył się wiosenny sen, i przeszło lato upalnego szczęścia a przyszła jesień straszna, chłodna, bezlitosna...

Ostatki jesiennego dnia walczyły z opanowującym go zmrokiem. Dzień był pochmurny, wiatr wyszarpywał słabe liście z drzew, miotał nimi w powietrzu, potem rzucał je o ziemię, wbijał z jakąś dziką zapamiętałością w miękki grunt i znów bezsilne porywał i pędził gdzieś przed siebie.

Powietrze przesycone wonią zwiędłych, nadpsutych liści, przypominało zapachy zleżałych wieńców nagrobnych. Jakaś smętna żalność rozlała się kirem po półnagich drzewach, żółtych trawnikach, suchych klombach parku. Dziwnie szare tony smutku przesycały światło ginącego dnia, i niby posępne „memento mori“ dla przyrody, wygrywał wiatr jakąś dziką melodię przykrym chichotem...

Jesień!..

Na tyłach pałacu Zadorowskiego, niedaleko mniejszej bramki wjazdowej, stała stara lipa. Staro-

świecka, okrągła drewniana ławeczka opasywała jej pień, a na ławkę spływały bujne gałęzie starego dzikiego wina. Tu była owa ławeczka, na której czekał już Adam — tu padły kiedyś, niedawno, pierwsze słodkie, pachnące słowa... Wtedy — to samo dzikie wino obejmowało tkliwie ich oboje, tulących się do siebie, swą blado-zieloną, wiosenną falą liści — a teraz? Teraz — te same, zeschnięte już, czerwono-sine, zczerniałe liście szeleściły za każdym wiatru powiewem, złowróżbną pieśnią jesienną...

Adamowi te minuty czekania przechodziły niby wieki całe udręki i tortur.

Czuł dobrze, że się już wszystko skończyło, — a przecież oczekiwał cudu, mamił się świadomie jakąś uludą nadziei. I modlił się spalonemi ustami:

— Elli! Największa rozkoszy i najsroźsza męczarnia życia mego! Przybądź, uratuj, pociesz, wyswobódź!

I wyciągał tęskne ręce do tego co minęło, przywoływał słodkie marmoty, a gdy cienie posłuszne przybiegały do niego, wtulał je w męce w swą pierś i sam niemi rozdzierał obolałe serce. Takie cierpienie zdawało mu się być chwilami — rozkoszą...

Rozkosz bólu...

— Elli! Słońce ty moje!..

Zatrzepotało mu się serce, uderzyła fala krwi do głowy. Nie widział jej jeszcze, lecz ją już przeczuł. Tak — szła szybko ku niemu — już była przy nim, wspaniała, w wieczorowej sukni, jak zawsze cudna.

Więc przyszła bodaj na chwilę, aby nie złamać przyrzeczenia, dziś rano przyjechała z Podola jej rodzina na dni kilka, za pół godziny ceremonialny obiad, więc przychodzi dlatego w sukni obiadowej i bez okrycia, aby nie zwrócić uwagi. A teraz niech mówi, tylko prosi o streszczanie się, bo wiatr trochę chłodny, a jej plecy odkryte.

— Nie kochasz mnie już? — popatrzał jak obłąkany.

— Ada! Znowu to, co wczoraj?!

— Bez wykrętów! Tak czy nie?

— Ada!! Szalony!



Baków. „Odpoczynek“ (fot. am. p. Marji Rachwałowej).

Chwycił ją za ręce i ścisnął z całej siły.

Och, boli... — jęknęła lekliwie.

— Nie trać pani czasu! Tam czeka obiad, goście, wesołość i życie! Skończ-że ten tu pogrzeb! Nie zwlekaj! Im prędzej, tem lepiej — dla nas obojga!

Od wczoraj czuł tylko, że zbliża się nań śmierć, dopiero w tej chwili zajrzała mu ona brutalnie w oczy. Pojął już, że tutaj nadzieja — to szaleństwo. Siadł, pochylił głowę, objął ją rękoma i chwycił płucami powietrze, a sercem życie. Tak czekał, niby na wyrok, na jej słowa. Czekał — a tak się ich bał strasznie...

— Więc skoro tego żądasz, to powiem. Daliśmy się raz unieść szaleństwu, zapomnijmy o tem. Porwałś mnie wtedy warem słów, chwyciłeś swą bujną fantazją, wyobraźnią, spętałeś na chwilę jakimś urokiem, co szedł z ciebie i kazał mi poddawać się twej woli i żądzy... Wtedy dałam ci słabość moją, bo porwał mnie czar wiosny, oszołomił zapach kwiatów, słońca, powietrza — upiłam się wiosną i twymi pocałunkami, i zdawało mi się wtedy, że to tak może trwać długo, może zawsze... Lecz gdy wyjechałam stąd i wydostałam się z pod twego dziwnego wpływu, i Twoja Elli stała się znów dawną Eleonorą, i gdy weszłam w siebie i myślałam nad tem dużo i długo, tam w Via Reggio — doszłam do przekonania, że ja ciebie nie kocham, Adamie.

— Dlaczego? — jęknął. Lecz w tej chwili zro-

zumiał, jak śmiesznie niedorzecznem było to pytanie. Wszak miłości wyzebrać nie można. Schwytał się za gardło, aby zdusić szloch. W piersi uczył niby pęknięcie krwionośnej żyły.

— Więc mnie i wtedy, na wiosnę, nie kochałaś?

— Ależ, dzieciaku! Więc mnie jeszcze nie rozumiesz? Musiałam kochać, skoro... I dziś cię lubię i cenię bardzo, Ada. Razisz mnie tylko swą

fantastycznością, swym hamletyzmem... Wylecz się z tego.

— Skoro kochałaś, dlaczego przestałaś — bez powodu kochać? Powiedz Elli!

— Czy ja wiem? — Może dlatego, że nie można kochać jednego do końca życia? Przychodzi taka chwila, mimo nasz rozum — potem znów odchodzi poza naszą wiedzę i wolę.

W tej chwili Adam zrozumiał, że w tym cudnym tęczowym kryształ, jaką jest ta kobieta, mieszka zimna pustka. Że ta precudna ptaszyna jest tylko — kolibrem o rajskim upierzeniu... I nagle płomienisty wybuch dumy porwał się z jego piersi. W niepojęty sposób zawiadnął so-

bą, i spokojny, szydersko grzeczny, kilkoma słowy pożegnał zdumioną i aż do bramy odprowadził.

A gdy został już sam i popatrzał w ciemnicę uczucia, która się nagle przed nim rozwarła, załamał ręce, i w mroku wieczoru zaszlochał płacz straszny, z piersi męskiej wyszarpywany.

A wiatr grał po zeschniętych liściach dzikiego wina — posępną pieśń Jesieni...

WŁAD. JASTRZ. ZALEWSKI.



Andryjanki pp. Gartkiewiczów, pow. bielskiego, gub. Grodzieńskiej. „Odpoczynek”.
(Ze zbiorów amat. Gartkiewicza).

Z VIII-ej SERJI POEZJI,

ZAGADKA.

I

Ktoś codzień wypisuje imię
me na korze.
Zbłądziwszy tu, w najdziksze
borowe ostępy, —
Kim jest ten tajemniczy?.. Na
mchach się położę
I będę czekał, patrząc
w chmur dalekich strzępy.

Kim jest ten, kogo los mój
dzisiaj tak obchodzi,
Kto myśli ciągle o mnie, kocha mnie tajemnie?..
O, cicho!.. ktoś się skrada, lekliwie podchodzi;
Ktoś czai się i pełźnie przez lesiste ciemnie.

Nasłuchuję i patrzę... Gałąź padła z drzewa
Na miękkie i puszyste, mchowe podścieliska,
Gdzieś smółka przez koronki jałowcowe błyska —

Niepokój mnie ogarnia, serce mi omdlewa
Z ciekawości, co oto zaraz tu się stanie,
Jakie będzie zagadki dziwnej rozwiązanie...

II

W odrętwie dziwnej milczą lesiste pustkowie,
Tylko woń mocna płynie z kwiatnych trybularzy,
Gdzieśniedzie złote słońce nagle się zajarzy
I nad źródem pobliskim zaszumią sitowia.

Cicho i pusto w leśnej, zielonej kaplicy,
Nieraz wilga zagwiźnie, zaśpiewa sikora,
Lub brzoza cicho załka, samotna i chora;
Wszystko zwiększa, pogłębia czar tej tajemnicy.

Leżę cicho i czekam... Myśl moja się płacze
W wirze dziwnych przypuszczeń, szukając przyczyny
I tak mijają długie godziny, godziny —

Znów czekam, znowu patrzę... Świecą w słońcu pnące,
Gdzieś nademną dwie wiotkie drgają pajęczyny,
A w górze — hen — a w górze, mkną obłoki łącze.

III

Czekam smutny, zgnębiony, lecz czekam z uporem,
Oto wieczór już pełźnie, złota zmierzchu chwila,



Żrebięta na paśniku (fot. am. p. Karnkowskiej).

Gdy wszystko niepojęte kielich swój rozchyła
I cień jakiś rozchwiejny idzie gęstym borem...

Czekam smutny, uśpiony dookolnym śpiewem,
Owiany ziół i kwiatów niepojętym szałem —
I zda mi się — swe imię sam tu napisałem,
Że od lat niepamiętnych sam jestem tem drzewem.

Znów czekam... Strach nieznany sercem mem owłada,
Strach nie przed kimś ukrytym, lecz przed samym sobą,
Przed jakimś pożegnaniem i jakąś żałobą,

A bór tymczasem gęsty rośnie w cień i gada
Złotym mchom i paprociom przedziwną legendę —
Od dzisiaj, już w to miejsce przychodzić nie będę...

IV.

W onej wsi, w której mieszkam, młoda jest dziewczyna,
Twarz ma dziwnie wybladłą, zawsze przerażoną,
A oczy jej zarzewiem gorączkowym płoną,
We włosy zawsze chaber i mak kraśny wpina...

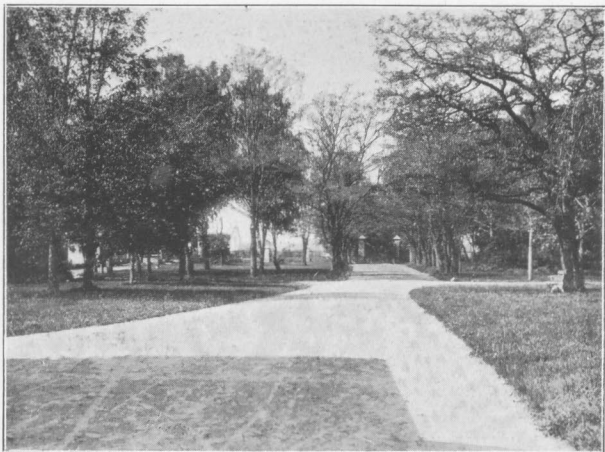
Gdy spotkam ją niechcący — zaraz drży jej łono,
A gdy do niej przemówię — uciekać zaczyna,
I nieraz sobie myślę, w czym tkwi moja wina,
Jaka tajń się ukrywa po za tą zasłoną.

Dzisiaj w pół ją chwyciłem, podszedłszy tajemnie
I spojrzawszy jej w oczy, zapytałem śmiało,
Czy to jej serce imię moje wypisało...

Odrzekła: Nie!.. i z płaczem uciekła odemnie,
Ale kiedy nazajutrz w las poszedłem rano,
Znów wryto me imię, tylko „Mój“ dodano.

ZYGMUNT RÓŻYCKI





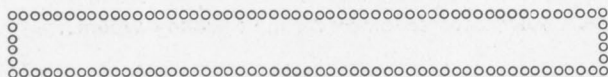
Wjazd do dworu w Winiarach od strony m. Warki.



Ogólny widok dworu z bocińcem w Winiarach od str. rzeki Pilicy.



Prom na rzece Pilicy pod parkiem w Winiarach.



Aleja lipowa od strony m. Warki i wjazdu do dworu.

(Fotografował p. Stanisław Maciejowski).

WINIARY.

Winiary, własność p. Józefa Szczuki, położone w ziemi Czerskiej, pod m. Warką, nad rzeką Pilicą, wchodziły dawniej w skład starostwa Wareckiego.

Ostatnim starostą Wareckim był Pułaski, ojciec Kazimierza, konfederata Barskiego, przyjaciela Tadeusza Kościuszki, który w Winiarach bywał częstym gościem.

Dobra przeszły później na własność rodziny Jordanów, Prozorów, a następnie księcia Włodzimierza Czetwertyńskiego, od którego w r. 1882 nabył je p. Andrzej Szczuka, prezes obecny Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego, ojciec dzisiejszego właściciela Winiar.

Na polach dóbr Winiary rozgrywały się bitwy pod Warką. Tu Mikołaj Zebrzydowski, wojewoda



Ruiny greckie w parku górnym w Winiarach.



Na tarasie w Winiarach.



Dwór w Winiarach.

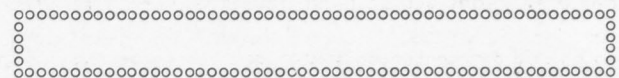
krakowski, na czele rokoszan wzbraniał 23 Czerwca 1607 r. przeprawy królowi Zygmuntovi III z wojskiem przez rzekę, a w roku 1656 Stefan Czarniecki, dnia 7 Kwietnia zadał klęskę Szwedom, tak pięknie i obrazowo opisaną przez H. Sienkiewicza w „Potopie“. Pozostały na polach winiarskich i wareckich ślady tej bitwy, w postaci okopów szwedzkich, a wąwóz prowadzący do rzeki Pilicy, lud dotąd nazywa wąwozem Czarnieckiego.

Według podania, za czasów królowej Bony, założono w Winiarach wielkie winnice, których śladem są zdziczałe krzewy winne wśród zarośli nadbrzeżnych.

O malowniczości dworu i parku w Winiarach najlepiej zaświadczą fotografie, które uzyskaliśmy dla „Wsi Ilustrowanej“ ze zbiorów krajoznawczych ś. p. Stanisława Maciejowskiego.



Grota, cudownej Matki Boskiej z Lourdes, w górnym parku winiarskim.



Widok rzeki Pilicy z tarasu dworskiego w Winiarach.
(Fotografował p. Stanisław Maciejowski).



Park dolny w Winiarach.



Głosków, pow. Grójecki (fot. Stanisław Maciejowski).

Czarna rozpacz.

OBRAZEK

przez POBRATYMCA.

Jagze Jaugustynko, lepiej co staremu?

— Ka¹⁾ ta lepiej, mościewi; w chudoku le-
dwo dusa sie płato.

— No widzicie, no widzicie! będzie kcioł stary
wyrzagnąć. A radziliście sie Bartoska?

— Je jagze i to nie roz. Rakurat będzie ty-
dzień jagek znowaś była u niego pytać²⁾ o porade.
Kozoł mojemu przyłożyć na piersi cornego kota
pokieli ciepły; cok sie za takim natryndała po całej
wsi, aze u Patyka kota dostałak, chocioz i tak
miół kuniec ogona bioły. Co tchu my go w stępie
zagnietli; no i Maćka nim obłozylak; miół go na
sobie trzy dni i trzy noce, zdajało sie ze mojemu
w piersiak bońduś³⁾ odwilgło po tém lekarztwie,
cóz kiedy wcoraj na odwieczyż pocon znowaś bardzi
stękać, a dzisioj od rana nic tylko „przez ręce
leci“⁴⁾. — To wypowiedziawszy, rozplakała się ko-
bieta i zakryła twarz zapaską.

— Loboga! loboga! wto⁵⁾ wie cy nie bez ten
bioły ogon lekarstwo nie poskutkowało, chocioz
i was juz jes w latach, to z takim trudno sprawa.
Ile téz mo roków?

— Cy jo wiem. Bedzie przeszło siedmdziesiąt;
odpowiada Augustynka, ocierając nos palcami i nie
przestając labidzić⁶⁾.

— No widzicie! nigdy byk nie pedziała. Zda-
woł mi sie być młodszym. No, to mu cas, no to
mu cas. Dacie pokój Jaugustynko, trudno sie wole
boskiej sprzeciwić kiej z nosa kapie. Dozeście
z nim zaznali utropienio, bo to jak chłop stary,
a baba młodo to o kalkulacyji nie ma ani godanio.

— Oj prowdą! prowdą! — jęka stroskana
żona i poczęła jeszcze więcej szlochać.

— No, no, miejcie w zolu pomiarkowa-
nie; — pocieszała ją sąsiadka, głaszcząc ręką
po głowie, taki to los nos bidnych kubit
na tym świecie. Zaprzagną cielisie w jedno
jarczmo z starym wołem i kozą ciągnąć.
Zamrze stary—skońcy sie wasa poniewierka.
Jemu juz cas, bo swoje na tym świecie wyby-
towoł. Uspokójcie sie i nie labidźcie tyła.

Z piersi płaczącej wydobywały się coraz
to większe jęki.

— Godom co wiem, bok nie dzisiejszo,
i wiem jak, i co. Wyście młodo, cas wom
jesce użyć tego świata. Nie płacicie bo Po-
niezus wie co robi.

— Dobrze sie wom godo, ale tu tyła juz
uszkodowałak sie bez te chorobe, a przydzie
śmierć: księdza płac, trumne kup, grabarzowi dej,
o lo Boga, o lo Boga!

Echo niosło te jęki po wsi wraz z głosami ku-
kułek, mącząc ciszę jaka zaległa wśród sadów, zie-
lonych.

— No, no! dosić tego Jaugustynko. Kogo Pon
Bóg stworzył, to go nie umorzł. Nońdzie się i na
to jaki grajcor. Was ta bez pieniędzy nie jes,
a zamrze — to se oddychnicie. — Nachyliła się ku
Augustynce do ucha: — Więcie, byłak w Tokarni
na odpusćcie w tamte niedzielę i widziałak sie
z Kubą. Straśnie ście mnie o wos dopytywoł.

— Moze? — Coś jakby błysk radosny rozświe-
cił zmizerowaną twarz Augustynki. Przestała jęceć,
tylko nosem raz po raz pociągała powietrze do sie-
bie, a gdy się jej za wiele wilgoci nazbierało w orga-
nie powonienia, wyciskała go palcami, potem palce
obcierała w spódnice.

— Okrutnie w wos zadurzony, a jak mu wspo-
mniałak wasą dole, to mu świerzcki w ocał stanyny.

— Moze?

— Zebyk sie haw⁷⁾ z tego miejsca nie ruszyła.
Nie turbujcie się nic, un wos juz nie opuści, bo
przestraśliwie mieluje.

Rumieńce wystąpiły na lica kobieciny, ale się
sposzregła, że jej nie wypada okazywać uszczę-
śliwienia ze względu, że mąż przecie jeszcze żyje.

— E, próżnioki godocie; — odrzekła, poczynając
znowu krzywić usta do płaczu, — mnie haw teroz
nie jamory w głowie.

— To się wie, to się wie; od Boga syćko za-
lezy, ale sie telko tak — na to mówiący — goćo.

Ku rozmawiającym nadeszła jeszcze inna „som-
siada“, i znowu powtórzyła się ta samo co pierwéj

¹⁾ gdzie, ²⁾ prosić, ³⁾ troszkę, ⁴⁾ mdleje, ⁵⁾ kto, ⁶⁾ narzekać z płaczem, ⁷⁾ tu.

indagacya strapionej, poczem wszystkie trzy skierowały swe kroki drogą ku chatom, które jak stado owiec rozbieżonych, każda w inną stronę, stały tu i owdzie koło drogi i po brzegach, świecąc wśród drzew, pokrytych kwieciami i zielenią, słomą poszytymi strzechami.

Powietrze górskie, czyste, przesycone zapachami zroszonych deszczem pól i kwitnących sadów, aże odorzało zmysły. Słońce chyliło się ku zachodowi gorejąc swą ogromną tarczą, do połowy ukrytą już po za pagórki, i wyrzucało w górę snopy świetlnych promieni, od których chmurki, rozpięchłe po firmamencie, ustroiły się w purpurę i złoto.

Właśnie nasze znajome dochodziły ku chacie Augustynów, kiedy wybiegł z niej chłopak bosy, w rozmamaną pod szyją koszulinie, i zawołał:

— Jagustyn już skończy!

Owdowiała kobieta z płaczem rzuciła się w otwarte wrota domostwa, a „somsyadi“ podążyły za nią co tchu, szepcząc zbieletemi ustami „wieczne spoczywanie“.

* * *

I w trzy dni później wynieśli truchłą z zwłokami starego Augustyna na mogiłki.

Deszczyk „ramolił“ od rana, to też utrudnionym był nieco pochód uczestników pogrzebu po pagórkach i trawnikach oślizgłych od wilgoci, zwłaszcza, że nim przybyto na cmentarz, pagórków tych i dolin z mokradłami, przejść musiano sporo.

Dziad z krzyżem przodował orszakowi, a za trumną zbitą na prędcie z desek i pomalowaną na czarno, postępowała w żalu nieutulona „gdowa“, wraz z krewnymi jej i krewnymi nieboszczyka, jak również liczna gromadka górali i góralek.

Kiedy znaleziono się nad otwartym grobem, w który miano złożyć za chwilę zwłoki, Augustynka z strasznym krzykiem i płaczem rzuciła się na trumnę i nakryła ją sobą. Obiema rękoma objęła



Kopanie kartofli w Głoskowie pod Piasecznem
(fot. Stan. Maciejowski).



Kopanie kartofli w Głoskowie pod Piasecznem
(fot. Stan. Maciejowski).

ten sprzęt, którego krył szczątki jej zmarłego męża i zaczęła rozpaczliwie „labidzić“. Kobiety rzuciły się ku niej na ratunek nie szczędząc słów pocieszenia, i ledwo ją przemocą od trumny oderwano. Kiedy zaś męża spuszczano do grobu wśród żalostnej pieśni nabożnej, wdowa mając twarz zakrytą obiema dłońmi, jęczała kuczając na ziemi, a płacz konwulsyjny wstrząsał jej całą osobą. Tak przetrwała, póki grobu nie zrównano z ziemią.

Gdy przybyli na pogrzeb zaczęli się już rozchodzić, kumoszki przystąpiły do owdowiałej kobiety i poczęły ją dźwigać z ziemi chcąc wyprowadzić z cmentarza, a gdy jej dłonie od twarzy—którymi sobie ją zasłoniła—oddarto, oczom ich ukazało się oblicze stroskanej wdowy, całe od bólu wykrzywione i zczerniałe.

— Raty boskie! dyć una chań¹⁾ cyrnieje na gębie! — zawołano chórem.

Rzucono się jej na ratunek. Jedna radziła zdjąć z nóg kerpce i łaskotać chorą po piętach, inne chciały duchem odczynić uroki, a niektórzy górale rozbiegli się na strony, aby przynieść gdzieś z potoka wody do trzeźwienia. Augustynka mlała i odchodziła od pamięci, pozwalając po drodze robić z sobą co tylko którzy chcieli.

— Nic ino dostała ze zolu *morówki*. — Tak zaopiniowała znana we wsi jako lékarka, leciwa niewiasta, Druzgalina, która zbadawszy wszystkie symptomata słabości, zaraz zdołała postawić diagnozę.

— Raty boskie! co godocie?!

— A tak, tak! bo widzicie kole oców i kole nosa wystąpiły jej corne plamy, a i koniec paliców kole pazurów jej pocyrniały. Trza ją duchem

¹⁾ tu.

wrazić do ciepłe kąpiele, a potem natrzyć niedzwiedziem sadłem, a pępek obłożyć ciepłą miętą i bylicą.

— O ratości! to może być z nią nieprzezpiecznie.

— Jak Bóg do. Teroz ją trupi, a za godzinę abo dwie, gorąco na nią uderzy, i będzie pletła ceć nie co i Bóg wie o cém.

— Jezu Nazarański! „bedzies ta jod!“ Widzicie jak se to ta biedocka to wdowieństwo do głowy przybrała.

— Ej, tak, tak. Strasno jest dula kubity w gdowieńskim staniku.

Tak współczując nad nieszczęściem, jakie spotkało Augustynkę, szli uczestnicy z pogrzebu, prowadząc chylącą się ciągle do upadku po ścieżynach i drogach, wśród pól tonących w zieleni i wśród chat tu i owdzie zbudowanych, a im się więcej zbliżano ku domom, tym większy orszak towarzyszył temu pochodowi, bo z chat przyłączała się do nich gawiedź żadna sensacji, i szła sama nie wiedząc po co i dlaczego.

Koło dróg, któremi przechodzili, po rowach, wały się tu i owdzie wysypane wióra, które zwyczajem w tej okolicy przyjętym, — wyrzucano z nowych trumien, aby przechodniowi w ten sposób dać znać, że w pobliżu koło téj drogi ktoś umarł i by wyzebrać dla jego duszy pacierz i westchnienie do Boga.

Skoro nadeszli do domu starego Matusiaka, któren — jak we wsi mówili — miał już z jakie lat sto, a mimo tego jeszcze jak potrzeba zachodziła, potrafił i by było obrządzić i do pola pójść z kosą, — zastali go stojącego przy ścieżce koło opłotków. Z głową odkrytą, siwiuteńki, z włosami długimi, które sięgały mu aż po ramiona, stał nieco wiekiem pochylony, w płóciennej, zgrzebnej odzieży, i dłonią osłoniwszy oczy aby go światło nie raziło, poglądał ciekawie ku zbliżającej się gromadce ludzi.



Głusków, pow. Grójecki (fot. Stan. Maciejowski).

— Coz to się stało? — zapytał skoro orszak zbliżył się ku niemu.

— Toli Jaugustyńka na pogrzebie swego chłopca dostała morówki i ledwośmy ją skrzysili.

— Kiez lichu do niej przystąpiło! Pokozciez no mi ją haw! — przybliżył się do kobiety prowadzonej z obu stron po pod ramię.

Augustynka z głową na bok przechyloną, jakby senna, wciąż jeszcze szlochała.

— Przypatrzciez się moiściewi i uwazujcie te plamy na gębie. Do krzty z zolu zcyrniała.

— Co godocie? plamy? — sięgnął ku niej kościstą ręką i posunął dłonią po twarzy. — Plamy? — powtórzył zapytanie i uśmiechnął się kostycznie. — Dyc una sie *ściorała!*¹⁾ — wyrzekł potem z naciskiem.

— Raty ratyści! nie śpasujcie, bo jo wiem co godom; — zaprotestowała biegła w kunszcie leczenia — Druzgalina.

— Baj baj, kiej ci widno, — odparł Matusiak. Poślinił palec i pomazał nim po licu Augustynki. Na palcu jego zostały ślady farby, a na twarzy czarna plama znikła.

Zrobił się huczek w tłumie. Poczęto robić w ten sam sposób doświadczenia i musiano przyznać słuszność staremu Matusiakowi.

— No widzicie, widzicie! dyc prawda. Jaugustyńka na gębie ściorano. Ale bez coz takie tryjotry wyprawio i „przez ręce leci?“

— Bo sie upiła jak śtyry dziewczki.

Górale, którzy tymczasem nadbiegli niosąc w kapeluszach wodę do trzeźwienia, zaczerpniętą w źródłkach, chluśli na nią raz jeden i drugi, wdowa otrząsnęła się po téj kąpieli jak pudel, obmyta twarz wystąpiła bez plam na niej, a Augustynka stanęła już na nogach o własnej sile. Zamiast żałosnych jeremiad, w gromadce wybuchł śmiech, Augustynka zaś jakby zawstydzona, poczęła się z tłumem wydierać naprzód ku swemu domowi.

Powstanie czarnych plam, które się pokazały na obliczu wdowy, dało się tem wytłómaczyć, że trumna była pomalowaną na czarno sadzami, z farbą zmieszanemi, a że deszczyk podczas pochodu „ramolił“, farby puściły, i kiedy Augustynka wśród aktu pogrzebu objęła trumnę rękami, uwalala sobie ręce, a potem z rąk przeniosła czarne plamy na twarz.

— Jo ta i tak bede godała, ze Jaugustyńke bez wielgą żałość choróbsko ozebrało, a ze miała ratunek na poczkaniu, choroba sie

¹⁾ powalała.

ozesła, ale pijano nie była, na to dałabyk swoją głowę uciąć. To była corno rozpac i basta. Tak zawyrokowała Druzgalina, podążając z innymi kobietami za wdową.

— Suśnie! ¹⁾ suśnie! — zawołały chórem góralki i wszystkie wraz z towarzyszkami weszły do domu Augustynów, aby tam wziąć udział w stypie pogrzebowej, jaką zwyczajem przyjętym, dla żałobników wyprawiano.

Przy kieliszkach jeszcze więcej się im rozwiązały języki, i opowiadano sobie po kilka razy o całym zajściu, i o tej czarnej rozpaczy, jaką wdowę — po śmierci męża — ogarnęła.

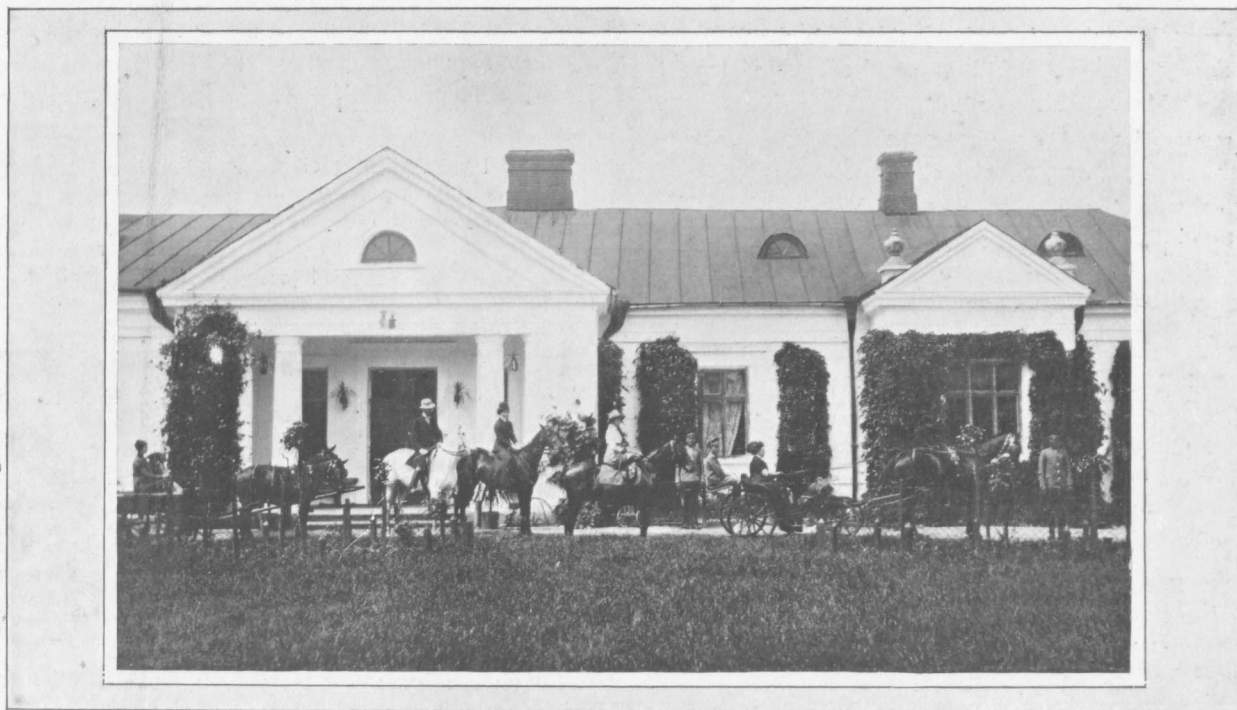
A Augustynka przypijając to do jednej, to do drugiej „somsyadi“ wciąż zalewała się łzami i nie mogła się uspokoić.

— No, no, nie bec ze juz tyła; naraję ci młodsego;—odezwał się w końcu wójt, głowa całej gromady, który także przyszedł zaproszony na ową stypę.

A inna sąsiadka przysiadła się do Augustynki i zaczęła jej coś dużo szeptać o Kubie, że będzie miała „chopa dla siebie odpowiedzialnego“, że nie powinna rozpaczać skoro taki był dopust boski, i t. d. i t. d., ale ta sobie ani mówić o niczem nie dała, tylko częstując gości jadłem i napitkiem, zataczając się ze żalu, płakała rzewnie, póki ostatni gość z domu — dobrze już podпиты — nie odszedł.

Za dwa miesiące po tych wypadkach poszła z Kubą do księdza proboszcza „na pocierze“ i aby dać na zapowiedzi.

¹⁾ słusznie.



Wyjazd na spacer przed dworem Oleszkowieckim.

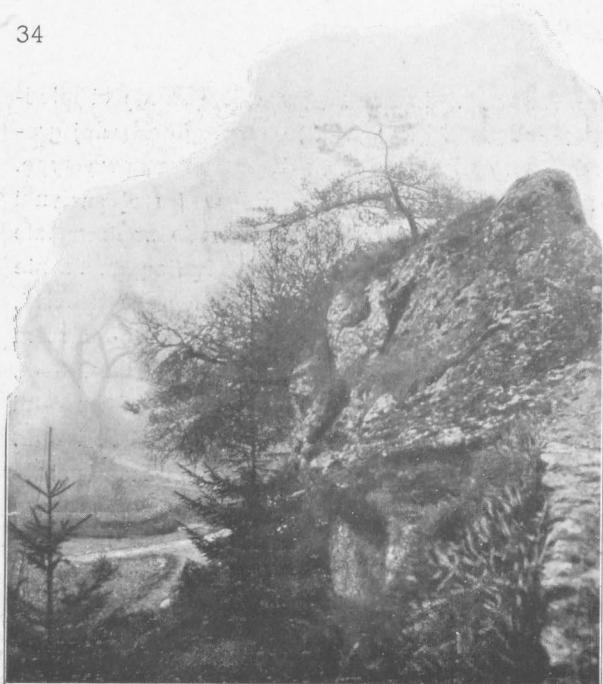
OLESZKOWCE.

Wieś Oleszkowce, własność Haliny i Stanisława Żurakowskich, położona jest nad malowniczymi brzegami Smotrycza, pełnego urwisk i skał. Park pełen urozmaicenia, rozległe sady owocowe zostały założone przez obecnych właścicieli.

Dobór pięknych i rzadkich roślin świadczy o wielkiem zamiłowaniu i ukochaniu swego dzieła. W jednej ze skał „pod orłem“ umieszczona pamiątkowa tablica założenia ogrodu 1897 r. z napisem: „Posadzone drzewa i krzewy najdłużej świadczyć będą, żeśmy żyli na tej ziemi“.

P. H. Żurakowska, właśc. Oleszkowiec.





Skala z parku Oleszkowieckiego.

LEGENDA O SKAŁACH OLESZKOWIECKICH

NAPISANA PRZEZ FRANCISZKA PUŁASKIEGO:

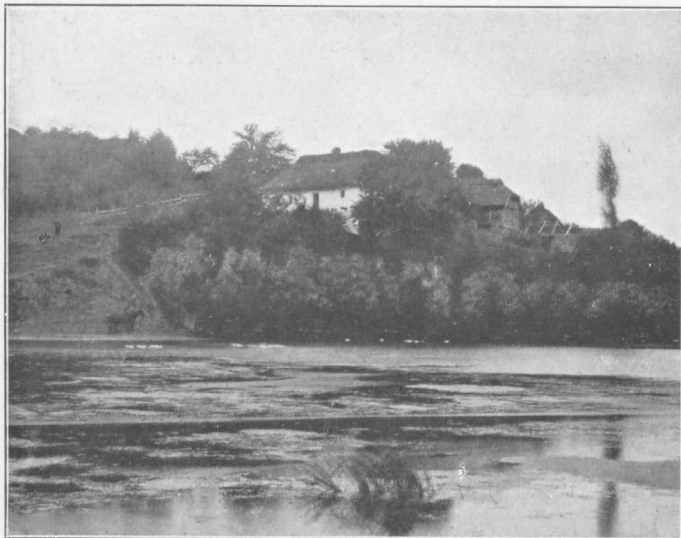
...Było to dawno, dawno temu...

Kiedy jeszcze kraj nasz cały
Inne ludy zaludniały,
Kiedy Smotrycz zamiast wody
Toczył jasne złote miody,

Gdy Bóg w polach jasne kłosa
W perły stroił zamiast rosy,
Kiedy jeszcze w nasze pola
Zaglądała lepsza dola.

Mleka, miodu było wbród,
A szczęśliwy kraj i lud!
Wtedy tutaj... gdzie te góry,
Żył król, orzeł białoپیوری.

Pod surowych skał obliczem
Żył król-orzeł nad Smotryczem,
Żył i dumał, o czym marzył
O czym dumał, i z kim gwarzył



Widok ze wsi Oleszkowice nad Smotryczem.

Ktoż opowie? Chyba skały,
Co go strzegły, wychowały...
Pewnie orzeł smutnie marzył,
Pewnie smutne myśli ważył,

Bo się zerwał i poleciał
W górę, w niebo orłem wleciał,
W górę wleciał z dziwną siłą
I tak długo go nie było,

Że się po nim wszystkie skały,
Zasepiły, zadumały!..
I tak długo tam szybował,
Aż się w gwiazdach rozmiłował,

Aż miłością się rozplonił —
I za gwiazdką — leciał, gonił.
I tak długo go nie było,
Że się po nim wszystkie skały
Zasepiły zadumały!..

Aż już kiedyś wiosną, rankiem
Leci orzeł niebios szrankiem
I z promieniem jasnym świtu
Zleciał orzeł gdzieś z błękitu,

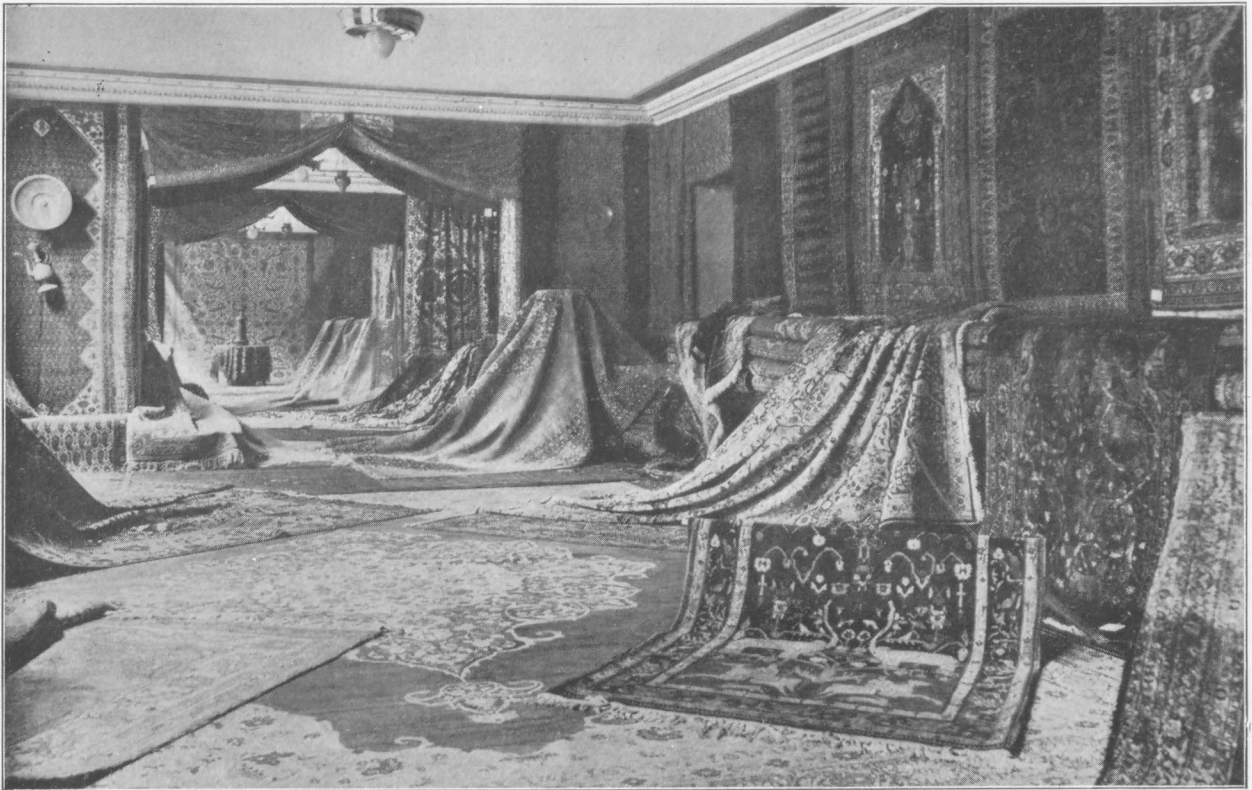
Z ukochaną zleciał gwiazdą
I na skale uwił gniazdo.
Od tej chwili przy tej skale
Ciszej szumią rzeczne fale,

Od tej chwili w tej ustroni
Piosnka piosnkę ciągle goni.
Od tej chwili wszystkie skały
W jasne kwiecie się ubrały.

Od tej chwili wzdłuż i wszerek
Szczęście czerpaj, radość bierz!



Fragment z parku Oleszkowieckiego „grota”.



Bogustem Herse

Ma zadecyć zawiadomieć Stanowionych Odbiorców,
 że kierownik Sztafki dywanów powieści z powołać
 Anglii do Perzji, Turkestanu, Azji Mniejszej,
 i poleca merrownały wybór noworokupianych
 koberców wspaniałych, wyróżniających się wy-
 stawnym smakiem i przystępnymi cenami.

Warszawa - Marszałkowska 150.

PRZEGLĄD TEATRALNY.

Znaną jest i w Warszawie chyba, facecja ilustrująca obozowe zacietrzewienie i zaściankową politykomanję Krakowa.

Spotyka się dwóch znajomych. Naturalnie, że tylko na A—B, w rynku.

— Do Hawełki, czy już od Hawełki?

— Dziś nie byłem tam jeszcze, i niestety nie będę.

— No! Cóż się takiego ważnego u pana stało?

— Ale ładne ma pan nowe buty. Gdzie się pan ubiera?

— U Pilznerkiewicza, przy ulicy św. Agnieszki.

— Nieznam. Ładny fason. Muszę się do niego przenieść. Ale, ale! A czy Pilznerkiewicz jest „stańczyk“, czy liberał?!..

W tej, nieco drastycznej przesadzie jest — niestety — dużo prawdy — a możnaby tę anegdotkę mutalis mutandis przystosować i do naszej prasy, piszącej o teatrze. Gdy jedni chwalą — bezkrytycznie, drudzy ganią — bezwarunkowo. A na tych słownych zapasach naszych atletów krytyki, wychodzi jak najgorzej... publiczność, nie pojmująca wcale, jak ta sama sztuka „znakomita, wybornie grana“, może być w drugiej krytyce równocześnie „bezwartościową ramotą, graną gorzej niż w teatrze amatorskim w Kaczycach Ozorkach...“

Ale do rzeczy. W miejsce sprawozdania z teatrów, coś niby — krytyka krytyki. Ale to tylko naturalne skojarzenie wyobrażeń.

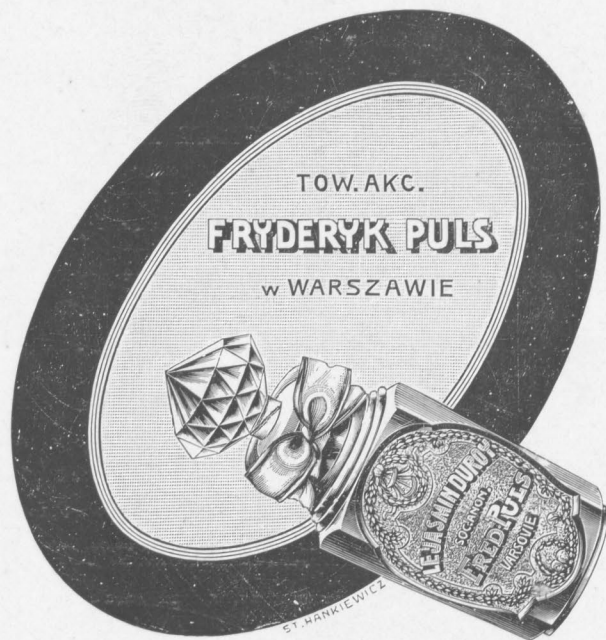
Sierpień — mimo swój charakter dogasającego sezonu — dał nam w kilku teatrach parę sztuk godnych zanotowania i choćby pobieżnego omówienia.

TEATR ROZMAITOŚCI wystawił „Judytę“ Hebbła. Wystawił — dla gościa, pani S. Wysockiej, doskonałej aktorki teatru krakowskiego. Ale powiedzmy odrazu: wystawienie to zrobiło (używając żargonu teatralnego) „sromotną klapę“. Wysilek artystyczny jednej Wysockiej nie mógł przecie dźwignąć, utrzymać i uratować sztuki, ciężącej w każdym kierunku do — beznadziejnego upadku. Za blisko nam dziś z Warszawy do teatrów Krakowa, Wiednia, Berlina, a nawet... Wrocławia, aby „Judyta“ w *taki* sposób podana, mogła liczyć na zadowolenie dzisiejszego widza, żądającego — słusznie — całkowitego wrażenia artystycznego. Eksperymenty w rodzaju „Judyty“ nie powinny mieć miejsca na takiej scenie, jak warszawska.

„Nasi na Rivierze“, komedia Stan. hr. Rzewuskiego, okazała się, naturalnie, daleko szczęśliwszą następczynią „Judyty“. Bezpretensjonalna krotchwila, napisana nieco na starą modłę, choć według wzorów francuskich, ujęła kilkoma scenami dość

zabawnemi, i jaskrawą karykaturą typów naszej wsi. Wprawdzie ci „dziedzice z Wólki“, siedzący na Rivierze, wydają się za bardzo... papierowi, wprawdzie te żony sprowadzone, „w niezdrowej atmosferze“ Nizzy, z drogi cnoty, niewiadomo po co i nawrócone (raczej — zawrócone) niewiadomo jak, wydają się nam sprężynowemi lalkami z za—dawnych i za — dobrych czasów, wprawdzie ta niby polska, wsiowa młodzież, płatająca niezdarnie erotyczne figle, nie bardzo przypomina żywych ludzi — ale wszystko to razem jest „takie sobie miłe“, i niby nasze, chwilami zabawne, choć i często smętnie nudnawe i martwe. W sierpniu powinno się być daleko mniej wymagającym, niż — w pełnym sezonie... Z grających nikt nie wysunął się na plan pierwszy, bo i papierowe role nie dają żadnego pola do popisu. Panie Pawińska i Sulima wniosły na scenę dość wdzięku, i miały sposobność, do pokazania kilku gustownych toalet.

POŻYCZKI NA MEBLE udziela
TOW. AKC. **A. Wróblewski i S-ka, Trębacka 13.**



Zato wystawiona w NOWYM lekka komedia Gavault'a „*Szczęście pod ręką*“, zdobyła sobie od razu zupełny sukces. Nazwał ktoś tę sztukę: „*Szczęściem na lewą rękę*“ — i słusznie. Nie wynika jednak z tego, aby musiała to być jakaś „sztuka z tezą“ — jak i nie wynika z tego jeszcze, aby słusznymi były gromy rzucone przez jednego z nadwrażliwych, a skądinąd zasłużonych, naszych publicystów, jakoby sztuka była niemoralna, gdyż rzekomo, apoteozuje... zło życia... Tak — to nie widowisko dla pensjonatów, ale też żaden teatr farsy nie jest wogóle dla panienek. Bezsprzecznie — kto na komedię Gavault'a będzie patrzeć tylko przez finał aktu drugiego, ten mógłby nazwać „*Szczęście*“ komedią nawet „neglizowo — buduarową“. Ale to omyłka. To komedia przede wszystkim — satyryczna. Autor kapitalnie ironizuje pewne słabości ludzkie, a przedstawiając szereg kobiet ze sfery tych, „które się utrzymuje“, daje nam, zupełnie słusznie, różne typy kobiece. Wszakże i w każdym świecie, nie tylko w półświatku, są kobiety sentymentalne, głupie, przywiązane, zdradliwe i bijące z miłości po twarzy... W całej sztuce jest rozsianych mnóstwo głęboko satyrycznych, i dających do myślenia powiedzeń, a że satyra, wzięta w grze nieco za farsowo, zesłała na plan drugi, to odrobina w tem winy aktorów, którzy wyprowadzając con amore „humor“ na plan pierwszy, skrzywili linię utworu, i zatarli tem nieco jego walory satyryczne. Bo te kłopoty pana Giraud'a, i jego nieudany mariaż, i ten fatalistycznie konieczny powrót do kochającej go, bądź co bądź, kobiety, z którą się już zżył, — nie mają w sobie ani grama jakiejś tendencji. Autor ni na chwilę nie mówi: „*Patrzcie! Lepiej być Edwardowi w „dzikiem“ małżeństwie z Zuzanną, niż wziąć sobie legalną żonę!*“ On tylko z szyderczym uśmiechem pokazuje nam tragikomiczne załamania pewnych życiowych kombinacji. Lecz wybrawszy taką właśnie anormalną sytuację, i puszczając sprawnie w wir zabawnych perypetji swych bohaterów, powiedzieć umiał kilka dotkliwie ironicznych, a zdrowych słów pod ogólnym adresem. Tak też i zrozumiała sztukę publiczność: śmiała się niefrasobliwie przez cały wieczór, rozumiejąc ironję, a nie dopatrując się apoteozy, tezy czy tendencji tam, gdzie ich, zgodnie z zamierzeniem autora, zupełnie nie było i być nie miało.

Zgrani i stale na wysokości zadania stojący ensemble trzeciej sceny, nie mało przyczynił się do podniesienia wesołości na widowni. Zawsze doskonali: Gasiński, Fertner, Knapczyński, Trapszo, oraz panie: Leszczyńska, Pawłowska, grali żywo i z humorem. Gościnnie wystąpili również pp.: Leszczyński (syn) oraz młoda, dobrze się zapowia-

dająca, panna Renardówna z Krakowa, posiadająca szczęśliwe warunki zewnętrzne i zdolność ładnego prowadzenia dialogu. Pani Mrozińska obejmie, zdaje się, emploi „wesołych cór Koryntu“. Wdzięczny to wydział i dający pole do popisania się, zawsze oryginalnymi paryskimi toaletami — niemniej jednak życzyliby można miłej artystce, i w takich rolach — dalszego doskonalenia się.

A tymczasem w OPERETCE panuje niepodzielnie „*Kochany Augustynek*“ Falla. Kompozytor (autor „*Rozwódki*“) — szczęśliwy rywal królów operetkowych Lehara i Oskara Straussa, — chciał tym razem stworzyć muzykę szlachetniejszą, niebanalną, bez „gassenhauer'ów“ i taniej cklowości wiedeńsko-berlińskiej. Udało mu się to w zupełności. Muzyka „*Augustynka*“ utrzymana jest w tonie oryginalnym, wykwiśniętym, nie rzadko blizkim opery komicznej. Libretto wyjątkowo z sensem, tło barwne, sytuacje komiczne, i pewien ton nie szablonowy, nie wulgarny, zrobiły z tej, jak zawsze wybornie przez dyr. Śliwińskiego wystawionej operety — ulubieńca Warszawy. Grana też i śpiewana jest bardzo dobrze. Miłutkie panie: Bielska i Niewiarowska (świeży, a dobry nabytek) oraz pp.: Rapacki, Krzewiński, Szczawiński, Misiewicz, Dyliński, czują się wybornie w swych rolach; grają z humorem, to też zbierają codziennie sute oklaski, i chętnie powtarzają popularne już melodie.

Zajrzyjmy teraz do teatrów prywatnych. TEATR MAŁY wznowił bez powodzenia starą farsę Mosera „*Wojna podczas pokoju*.“ Był czas, gdy Mosera komedje miały duże sukcesy śmiechu w teatrach niemieckich. Dziś — czasy te bezpowrotnie już minęły, a te „witz'e“, ten stary „*Bier-humor*“, nie umie już nas rozśmieszyć i przemówić do przekonania. — Wystawiono tam również Kraszewskiego „*Miód Kasztelański*“, komedię kontuszową, z gościnną p. Popławskiego, bardzo zdolnego aktora, w roli Sołoduchy. — Przeróbka „*Placówki*“ na scenę okazała się próbą nieudaną — co było zresztą do przewidzenia. Wystawianie takich zdalagowanych powieści to tylko strata czasu i męczarnia — dla publiczności, znającej z czytania tak dobrze, arcydzielny oryginał Prusa.

Gdy dodamy do tego jeszcze, iż miły, a tak licznie przez naszych przyjezdnych ziemian uczęszczany, letni salonik warszawski „*Bagatela*“, z dobrze zrozumianą ruchliwością i pomysłem, przesunął na swej scenie przez tych kilka tygodni, parę dobrych, wesołych, melodyjnych operetek z starego i nowego repertuaru, — musimy dojść chyba do przekonania, że przecież „*jest gdzie pójść w tej podłej Warszawie*“, choćby nawet i w sierpniu, i przy samym końcu sezonu teatralnego...

MODA.



Początek Września jest niewdzięczną chwilą dla wszystkiego co ma łączność z Modą. Urocze, opromienione słońcem, uwieńczone kwieciami, tchnące powiewami łąk i lasów — cudne lato, zapadło w przeszłość, ustępując miejsca początkom jesieni, zmieniając warunki przyrody, a tem samem i szaty nasze, głównie spacerowe. To właśnie przejście wytwarza tak zwany u źródła modnej wiedzy *demi-saison*, czyli jak obecnie — *jesienny półsezon*. Jest to wogóle bardzo subtelne przejście z lata do jesieni — przystępne tylko dla osób ściśle za Modą idących. U nas przechodzi ono prawie niepostrzeżenie — trwa krótko — bo „*złoty Wrzesień*” opiewany przez poetów, darzy nas zwykle miłym ciepłem, jakby złudzeniem lata, rozwianiem szybko, październikowemi chłodami, podstawowe zaś zmienianie garderoby na jeden miesiąc — należy już do toaletowego luksusu i do tych, którzy go uprawiają, a takich u nas jest niewiele.

Tam... w krainie zbytku, w stolicy świata i Mody — inaczej się dzieje. Wytworna paryżanka „*Une Mondaine*”, której celem istnienia jest ustrojenie swej cennej osóбки i ciągłe produkowanie tych strojów wszędzie, gdzie tylko jest ku temu pole, ta owa nie tyle ładna ile bajecznie zręczna *laleczka*, której życie upływa w zwiedzaniu Magazynów, zamawianiu i mierzeniu tualet zmienianych cztery do pięciu razy dziennie i wynajdywaniu coraz to nowych ekscentryczności, o których istotnie nie śniło się filozofom; ta istota wyskokowa, elektryczna, opuszcza Paryż w końcu Czerwca zabierając dziesiątki kufrow i pudeł i udaje się tam, gdzie Moda być jej nakazuje. Spędza tedy Lipiec w *Trouville-Da-ville*. w *Ostendzie* lub w *Aix les Bains* — w *Spa* lub w *Vichy* lub w tym podobnych *extra select* miejscowościach, tam w niczem nie zmienia paryskiego trybu, tylko bardziej się stroi i bawi, przebywa więcej na powietrzu, bo życie *en plein air* jest modne, kąpie się w morzu, bo to jest modne i daje sposobność do ukazywania się w bajecznych kąpielowych kostjumach, uprawia różne sporty, bo to jest modne, a do każdego sportu ma wspaniałe kostjумы... i po sześciu

tygodniach takiego... *wypoczynku*... jedzie dalej, na jakąś wytworną *villegiature*, gdzie cała wesoła kompanja prowadzi życie, tak zwane, *vie de chateau*, w dalszym ciągu ubiera się i przebiera po 5 razy dziennie, jeździ konno (ma pyszną amazonkę z Londynu), gra w *lawn tennis'a*, występuje w teatrach amatorskich, potem tańczy do rana... Zapominam o polowaniu... a to także modnie, a kostjum myśliwski ma prześliczny!.. To trwa do połowy Września. Istotnie nie wiadomo co bardziej podziwiać, czy żelazne zdrowie i siły tej wątlej przeważnie istoty, czy olbrzymią życiową werwę, czy wreszcie krezusowe środki, zapewniające tego rodzaju egzystencję.

W połowie Września *Mondaine* — *laleczka*, jedzie *cicha-czem* (bo już wracać byłoby niemożliwie) do Paryża, na dni kilka i od rana do nocy ciężko pracuje, jeżdżąc po Magazynach za *nowinami toaletowymi* i szykując się już zawczasu do jesienno zimowej kampanji. A zadanie to nie łatwe. Wielcy Mistrzowie nożyczek, z panami *Redfernem*, *Doucetem* i *Paquinem* na czele, strzegą w tym czasie skarbów swoich, to jest sezonowych modeli — z bajeczną surowością; tajemnic zdradzić nie wolno, pod karą wydalenia z urzędu. Modele te przejść muszą przez sąd sędycy Mistrzów, zyskać aprobatę *Areopagu* — poczem następują kolejno otwarcia przybytków Mody połączone z Wystawami *des créations nouvelles*. Uczknąć coś, choćby jakąś nowinkę mało znaczącą, przed temi Wystawami, jest bardzo trudno, a jednak *laleczka* to potrafi — ma ona swoje *petites entrées*, posiada *Sezamowe* zaklęcie to jest złota masami... Podwoje uchylają się dyskretnie, miękkie kobierce głuszą szelest kroków, ciężkie portjery i wybijane atlasem ściany przybytku, czynią uświadamiające szepty zaledwie dosłyszaniem... a *laleczka* jest u szczytu marzeń bo się dowiedziała... bo już wie... w głównych zarysach, jakie są ostatnie rozkazy wszechwładnej Mody, na sezon najbliższy. Czyni odpowiednie zamówienia, nabywa kilka nowych tualet *tyczasowych*, a już pół-sezonowych i promieniejąca zadowoleniem wraca tam, z kąd przybyła, by znowu wpleść się w koło, w szalony wir



NAJLEPSZE GRAMOFONY

Z ORYGINALNYMI SZWAJCARSKIMI MECHANIZMAMI,
ORAZ PŁYTY w WYKONANIU SIŁ PIERWSZORZĘDNYCH

POLECA: **B. RUDZKI**

WARSZAWA, MARSZAŁKOWSKA 87.

ooooooooo CENY FABRYCZNE STAŁE. oooooooooo
CENNIKI I REPERTUARY NA ŻĄDANIE BEZPŁATNIE.

ZAWIADOMIENIE.

Po gruntownej i artystycznej przebudowie otwarto
RESTAURACJĘ w HOTELU ANGIELSKIM
(Wierzbowa Nr 6)

Z poważaniem **J. JORDAN.**

Telef.: bufet 5-90, sala 27-28, gabinety 20-74, szatnia 36-02.

Najlepszą Tekturę Smołowcową, Lak asfaltowy, Smołę gazową, Krycie dachów z długoletnią gwarancją i Roboty asfaltowe

Poleca: Fabryka Tektury = **STEFAN SOROKIEWICZ i S^{KA}**
Smołowcowej i Asfaltu

w Warszawie, Kantor: Plac Warecki 6 telef. 69-87, Fabryka: Okrąg № 6 telef. 70-87.

ooooooooooooo Próby, kosztorysy i cenniki na żądanie wysyłamy bezzwłocznie. oooooooooooooo

uciech i zabaw codziennych. A tam w Paryżu, układają już dla niej cały olbrzymi repertuar strojów jesiennych i zimowych, cały arsenał koronkowo aksamitnych lśniących pocisków, którymi ma walczyć i zwyciężyć!.. Na październik, *laleczka* obowiązkowo jedzie do *Biaritz* lub *San Sebastian*, by zanurzać się w falach Oceanu i doznać nerwowych wzruszeń, patrząc na walki byków i podziwiając odwagę pięknych Torreadorów. W listopadzie wraca do Paryża, gdzie olśniewa przepychem i wyrafinowanym gustem tuiet, a karnawał spędza na Lazurówym wybrzeżu. Tak żyje tysiące i tysiące „*Mondaines*”- *laleczek*, których jedyną racją bytu na świecie jest to, że ich szalony, namiętny zbytek daje chleb setkom ludzi, obraca koła wielkiej, wszechświatowej maszyny przemysłowo-handlowej, która tym właśnie zbytkiem istnieje. Z tego wynika, że „*Mondaines*”- *laleczki* są koniecznie potrzebne do utrzymania światowej równowagi...

Z tych niebotycznych szczytów trzeba nam zstąpić na skromne równiny nasze i przypatrzeć się, jak też obecny pół sezon przedstawia się u nas. Warszawa, przez ostatnie 2 miesiące, opustoszała ze wszystkiego, co się nazwać może tuietową elegancją. Kto mógł opuścić rozpalone mury a już głównie panie, ulotniły się zupełnie. Zostały wysłane, jak to mówią... *na trawę* bądź to na wieś do krewnych lub przyjaciół, bądź na przeróżne bliższe lub dalsze letniska bądź do uzdrowisk naszych lub zagranicznych. Na miejscu pozostały te, które już żadnym sposobem wyjechać nie mogły, przeważnie z powodu materialnych warunków. Otóż na wielką pochwałę wrodzonego wdzięku i gustu Warszawianek, zaznaczyć trzeba, że pozostałe w mieście Panie, ubierały się przeważnie bardzo ładnie, zręcznie, choć skromnie. Letnie, tanie sukienki, głównie te białe, tak zwane *de lingerie* to jest batystowe, haftowane, ślicznie się przedstawiały a i inne kostjumki z lekkiego sukienka lub wełny, sprawiały bardzo dodatnie wrażenie. Wielka tegoroczna różnorodność fasonów kapeluszy przyczyniała się do ładnego pokrycia głów, zgrabna figurka okraszała nieraz wiele tuietowych braków — ładna nóżka prawie zawsze ładnie obuta (Warszawa posiada idealnych szewców) dopełniała ślicznie estetycznej całości. Tak przeszło tuietowe lato. Teraz od dni nie wielu i jeszcze powoli, Panie zaczynają się zjeżdżać, w mieście, już się daje

zauważyć ruch trochę powiększony, głównie dzięki rozpoczętym wykładom w szkołach. Wkrótce znajdziemy się wszystkie na miejscu i zaczniemy myśleć o tuietowej jesieni. Tu radziłabym trochę cierpliwości, bo Mody jesiennie jeszcze się w Warszawie nie pojawiły. Wszyscy nasi poważni właściciele i właścicielki Magazynów sukien, okryć konfekcji i t. p. Wszystkie Magazynierki z działu kapeluszy, wszyscy pierwszorzędni krawcy i krawcowe, wyjechali do Paryża lub Wiednia po modele, we wszystkich odnośnych sklepach jeszcze pustki, jeszcze chwile oczekiwania, które trwać będą do połowy Września, nie dłużej, wtedy dopiero zacznie się ruch w przyspieszonym gorączkowym tempie!..

Chcąc sobie radzić z jesiennym *pół sezonem* trzeba się trzymać następujących wskazówek.

Każdy kostjum wełniany jest bardzo na porę obecną odpowiedni również i z lekkiego sukna, byle nie na moltonie, bo to jeszcze za ciężko. Sukien batystowych właściwie już we Wrześniu nosić się nie powinno, z wyjątkiem jakiegoś bardzo ciepłego dnia, wtedy do batystowej spódniczki ładnie bardzo wygląda jedwabny ciemniejszy żakiet. Pod żakiet przy kostjumach, batystową bluzkę trzeba zastąpić jedwabną, albo koloru sukni, albo białą, co zawsze jest najładniej. Kapelusze pół sezonowe nosi się rozmaite, nawet letnie ciemniejsze (byle nie ze stomy żółte). Klasyczny pół sezonowy kapelus, powinien być ze świecącego jedwabiu, lub z leciuchnego aksamitu (*velour miroir*), lub włosiany. Jako przybranie, kwiaty, pióra, wstążki. Pończochy ażurowe lub tak zwane gazowe, przy wyciętych trzewikach lub pantofelkach już się we Wrześniu nie noszą. Przed chłodem wieczornym trzeba się zabezpieczać noszeniem zawsze modnej i ładnej etoli, z futra jak w tej porze płaskiego, nurki, foki, gronostaje; lisy puszyste są jeszcze we Wrześniu za ciężkie. Jak to już zaznaczyłam, cały ten pół sezon jest bardzo w szczególności subtelny, służy jako wstęp do radykalnej jesiennych zmian tuietowej, która już maluczko a zostanie nam w pełni ujawnioną.

O zmianie tej pomówię z Szanownemi Czytelniczkami „*Wsi Ilustrowanej*...” za miesiąc.

MARCELE.

PIERWSZORZĘDNY ZAKŁAD STOLARSKI
I PRACOWNIA ARTYSTYCZNO-BRONZOWNICZA

A. WENDORFFA i SYNÓW W WARSZAWIE, oooooooo
NOWOWIELKA 22 — TELEFONU 193-34.

Wykonuje wszelkie stylowe urządzenia: Pałacowe, mieszkalne i t. p., według własnych i poleconych projektów.

ZAWIADOMIENIE

Nowo-otwarty został **Bar „SATYR”**

JEDYNY W SWOIM RODZAJU, ===== Marszałkowska Nr. 81a. Telef. 102-24.

Polskie Biuro Leśne

Ks. Zdzisł. Lubomirski i S-ka, Warszawa, Żórawia 22, tel. 90-90.
Urządzenie gospodarstw leśnych, inspekcje i taksacje leśne. Komisowa sprzedaż lasów.

Nie znalazł, nie zebrał.

Kiedy tak stał, pogrążony w czarnych myślach, huczał w nim bunt przeciw wojnie, która zawiodła jego nadzieje.

— Na cóż mi tłuc się po obcych krajach w niewygodzie i w ciągłej trwodze, na cóż mi bić się i być bitym za sprawy, które mnie nic nie obchodzą? kotłowało się w jego głowie. — Pieniądzy chcę, jak najwięcej pieniędzy, aby mi było dobrze i słodko z moją Kasią pod własnym dachem.

Pieniądzy? Zkąd je wziąć? Wszystko jedno zkąd, byle były...

Zły duch, cychający wszędzie i zawsze na chwilę słabości u człowieka, podszeptował mu myśli kuszące: pieniądze chcesz? Cóż łatwiejszego, jak napelnić sakwy szczerem złotem. Wystarczy pójść do pułkownika polskiego i zdradzić mu tajemnicę towarzyszków broni, a wynagrodzi cię hojnie.

Chciwie brał w siebie, pił landsknecht te myśli kuszące. Przez jakiś czas wahał się — sumienie ostrzegało przed zbrodnią zdrady — chciwość jednak złota przemogła głos ostrzegawczy.

Obejrzawszy się uważnie dokoła, czy go kto nie śledzi, nasunął kapelusz na czoło i ruszył ku Margoninowi.

Nie długo szedł i szukał. Pod samem miastem spotkał oddział polski, który zmierzał właśnie na miejsce, strzeżone przez Szwedów. Stawiony przed pułkownika, ofiarował mu służbę szpiega i zdrajcy za cenę wysoką. Stary oficer zmierzył go z pogardą od czuba do stóp, ale służbę jego przyjął, obiecując żadaną nagrodę.

Cicho, bez szelestu, stąpając ostrożnie, posuwały się konie. Ani jeden nie parsknął, nie prychnął. Wytrawne zwierzęta bojowe, przywykłe do fortelów wojennych, wiedziały, że trzeba zachować spokój. Powiedziała im to komenda oficerów, wygłoszona głosem stłumionym i szept żołnierzy.

Wilczym chodem szło wojsko prowadzone przez zdrajcę. Żołnierz unosił szablę w górę, aby nie zadzwoniła wypadkiem o ostrogę, o strzemię.

Bez troski, bez obawy spali Szwedzi w szańcach. Widety przecież czuwały nad ich snem bezpiecznym. Nagle zbudziły ich grzmoty strzałów i szcęk oręża. Ten i ów, zerwawszy się z ziemi, legł po raz wtóry na zawsze, na sen wieczysty, nie wiedząc nawet, jak się to stało, inny salwował głowę ucieczką w las, reszta broniła się mężniej wiedząc, że walczy o życie.

Krótko trwała bitwa. Po godzinie przestał oddział szwedzki istnieć. Którzy się bronili, leżeli pokotem bez ruchu, własną krwią skąpani.

A wówczas wyciągnął zdrajca rękę po swoje judaszowskie srebrniki.

— Zapłaćcie, coście obiecali.

Ale pułkownik polski odrzekł:

— Na wojnie trzeba się czasami posługiwać cudzą podłością, ale się jej nie wynagradza. Zejdź mi z oczu, zdrajco, jeśli ci całe gardło miłe.

Odszedł zdrajca z głową zwieszoną, z głuchym gniewem w sercu. Nie wiodło mu się. Nawet podłość nie nasypała mu złota do kabzy. A ona przecież lubiła służyć chciwości, swojej kumie.

Stanął pod drzewem. Brał go za pierś, chwycił za gardło, dławił głuchy gniew. Miałżeby na daremnie, mieć na sumieniu tylu swoich towarzyszków broni? Nie miałby nic, nic zgoła zarobić, wrócić do domu z gołymi rękami?

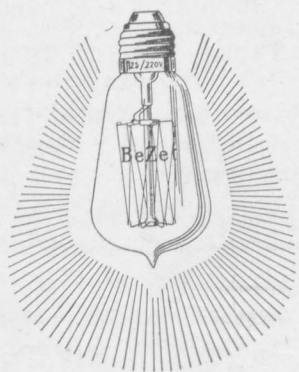
I znów podszeptował mu zły duch myśli kuszące: oto leży na ziemi bez żadnej opieki tylu umarłych, bezbronych, a wielu z nich pochodzi z możnych rodzin: obmacaj ich kieszenie, ich trzośy, a będziesz bogaty.

Uśmiechnął się do tych podłych myśli chciwy landsknecht, uśmiechem hyeny.

Skradającym się krokiem drapieznika zbliżył się do pobojuwiska. Nagle cofnął się przerażony. W ciszy nocnej załopotano coś nad jego głową, jakby skrzydła olbrzymiego potwora, zakrakało, jakby ochrypli chychot djabła. Przybladł, zimny pot sperlił się na jego czole.

Po chwili jednak oprzytomniał.

— Strach ma wielkie oczy — mruczał. — Czego się boisz? Umarli nie bronią swojej ziemskiej własności. Sępy i kruki, spłoszone przez ciebie



BIURO URZĄDZEŃ ELEKTRYCZNYCH
WAGŁAW BRYGIEWICZ, MICHAŁ ZUCKER I S-NA
 WARSZAWA, MARSZAŁKOWSKA 119. (TEL. 37-40).
 ADRES TELEGR. „BEZET”

INSTALACJE, OŚWIETLENIE, MOTORY.
 ZASTOSOWANIE ELEKTRYCZNOŚCI W ROLNICTWIE.
 DOSTAWA ARTYKULÓW ELEKTROTECHNICZNYCH.

przerwały swoją biesiadę, a tobie się zdawało, że to potwory i djaby. Nie bój się, głupcze!

Tak się uspokoiwszy, poszedł między poległych. Nachylał się nad zabitymi towarzyszami broni, wypróżniał ich kieszenie, ich trzosi, ze skostniałych rąk, z palców ściągał pierścienie. A nad jego głową krążyły bezustannie sępy i kruki, mącąc ciżbę nocną swoim krzykiem złowieszczym, a dokoła niego szumiały drzewa, szemrało jezioro, a z nieba patrzył na jego niecną, bezbożną robotę błądy miesiąc. O, jak się szeroko rozwarły oczy poległych szklily w widmowej poświacie księżycy, spoglądając na niego z wyrzutem: zdrajco, morderco, zbrodniarzu!..

Trzęsły mu się ręce, drżał każdy jego nerw, ćmiło mu się w oczach, jeżyły się włosy...

— Zdrajco, morderco, zbrodniarzu! — słyszał w krzyku sępów, w krakaniu kruków, w szumie drzew, w szmerze jeziora, — bądź przeklęty, prze-

klęty, przeklęty! czytał w oczach poległych — nędzniku, nie ujdiesz sprawiedliwej ręce Boga, widzę cię! — groził mu księżyc.

Schwycił się za głowę. Coś w niej trzaskało, pękało, schwycił się za serce: biło młotem.

W tem dźwignął się jeden z poległych połową ciała z ziemi i wyciągał do niego ręce. Ranny był, żył jeszcze, ocucił się, a zdrajcy zdawało się, że trup po niego sięga.

Zachwiał się i runął na ziemię. Zabił go strach...

Nazajutrz pochowano poległych we wspólnej mogile. Ale zdrajcę, niegodnego nawet pod ziemią towarzystwa uczciwych żołnierzy, zagrzebano na uboczu, w osobnym grobie.

W tym samotnym grobie nie ma zdrajca dotąd spokoju. Ilekroć ktoś umrze w okolicy, wychodzi on nocą z pod ziemi i stuka trzy razy w okna domu żałobnego.

TEODOR JESKE-CHOIŃSKI.

POWSZECHNE TOWARZYSTWO ELEKTRYCZNE

KRAKOWSKIE-PRZEDMIEŚCIE № 16/18. ——— Adres telegraficzny „ALGEM”.

WŁASNE FABRYKI W RYDZE.

Wszelkie instalacje Elektryczne. ——— Wielkie Składy materiałów elektrycznych.



Z dziedziny kosmetyki i higieny.

ODPOWIEDZI I RADY.

Luni S. Ciesz mi, że Sz. Pani jest tak zadowolona z przeprowadzonej kuracji usunięcia wągrów w Kalotechnice i że perełki alkaliczne i Vesta tak znakomicie oczyściły cerę. W dalszym ciągu używać Vestę i od czasu do czasu masować twarz Autowibratorem D-ra Johansena dla pobudzenia cyrkulacji krwi i wyrównania cery.

Zmartwionej. Włosy myć mydłem płynnym Antrasolowem i nacierać skórę głowy Radiolem — a zło da się usunąć i włosy szybko rosnąć będą. Brodawkę na nosie zdejmie lekarz elektrycznością w Kalotechnice, Marszałkowska 116, telef. 16-73. Przyjęcia codzień od 4 — 6.

Starej wdowie. Na czarny kolor najtrwalej barwi farba D-ra Phonseca. Przykry zapach z ust usunie Elixir radjowy. Herbata D-ra Daloffa jest nieszkodliwą, a przy zbytnej tuszy b. skuteczną. Środki te w Ciechocinku dostanie Sz. Pani w Składzie Wolmana.

Pensjonarce. Żółtą pręgę na szyi oraz piegi usunie krem

D-ra Orgley'a. Na noc smarować kremem, rano płynem Vesta. Ręce udelikatniać rękawiczki kosmetyczne. Odziębie usunie krem Eros. Włosy przystać trzeba do analizy lekarskiej do Kalotechniki — lekarz zbada i zaleci odpowiednie środki. Kosztuje rb. 3.

Pikerowi z nad Strugi. Na porost brwi mogą polecić Ol. Hel. Krosty usunie płyn Vesta oraz perełki alkaliczne do mycia.

Wszystkie wymienione tutaj środki wysyła za zaliczeniem Kalotechnika, Marszałkowska 116, oraz w Łodzi Spiess, w Kijowie Jurotat, w Wilnie Grużewski, w Krakowie Miklaszewski, we Lwowie Pawłowski Akademicka 21, w Lublinie Bernatowicz, w Piotrkowie Kryński.

M-me LENA.

DOM BANKOWY
T. SZEMPLIŃSKI i S-ka
WARSZAWA, NOWY-ŚWIAT № 40.

Kupno — sprzedaż papierów procent., akcji, asekuracja.
WSZELKIE INTERESY BANKIERSKIE.

Ksiądz Piotr Skarga.

W katedrze cicho... Z słonecznych witraży
Blasków stubarwnych... Kwiatów — lecą kiście
Na białe tafle... Przed Panem się żarzy
Samotna lampa... Słodko — uroczyście
Seraf modlitwy wznosi złote skrzydła
Bez dźwięku hymnu — bez woni kadzidła...

Dusza upaja się smętne wspomnieniem...

Wstają ogromne cienie... drogie mary...

Tu — w tym kościele — tu pod tym sklepieniem,
Pod łuków wzloty — wzwyż ponad filary
Głos twój, rzucany złotostrunną wargą,
Grzmiał — o nasz Czysty — o Wielki nasz — Skargo!

Widzę — korowód panów i rycerzy...

Widzę — dostojne senatorskie głowy...

Na tym orszaku, kir — mgłą przeczuć leży,
Ponad tą Ziemią zawisł gniew Jehowy
Kłęski piorunem, — a zagłady matnia
Czyha, ... Pan zwleka, ... Tam — Anna — ostatnia...

W zakonnym stroju, w swej rzeźbionej stalli...

O mary — mary, czemu przed mym wzrokiem
Wstajecie żywe?... Ogniem wzrok się pali...
Lice z marmuru... On — co był prorokiem,
Synem — gotowym dać krew do kropelki...

O Czysty — Święty — o Skargo nasz Wielki!

Słyszę głos Jego — głos — co grozy dreszczem
Wstrząsał od posad — aż po sklepień szczyty
Starą katedrą — niegdyś — a złowieszczym
Podmuchał targań — napoły rozbitą
Okręt tonący — serce miłujące
Biegło — ratować — budząc owe śpiące...

Lecz spali — jako ci — co w sarkofagi
Odeszli — spocząć: — O, stokroć przeklęty,
Zły śnie gnuśności i pychy... Patrz — nagi
Kościotrup śmierci — w nienawiści skręty
Oplecion — sunie — tam — pod arkadami...

Ty — sługo Boży — módl się — módl za nami!..

BOŻYMIR.

NAPOLEOŃCZYCY

(WIELKOPOLANIE W WIELKIEJ ARMJI).

III.

ANDRZEJ NIEGOLEWSKI.

J eżeli wśród wielkopolan - napoleończyków po-
stać Dezyderego Chłapowskiego zarysowuje
nam się, jako typ błyszczącego wszechstronnemi
talentami oficera z owej epoki, gdy nad epoką tą całą
góruje, zacieniając swych współczesnych, jak dąb-
olbrzym, Dąbrowski, — to, popularnością przewyż-
szając pierwszego, a dopełnieniem drugiego będąc,
błyszczący, z wielkich dni tamtych, niby promień
złoty przenikając przez szarzyznę dnia dzisiejsze-
go sylwetka rycerza-junaka, bohatera z pod So-
mosierry, Niegolewskiego.

Hiszpanja, dwa razy podbita, zawojowana
i ubezwładniona tak, iż zdawało się, że jarzma
obcych ciemiężców nigdy nie rzuci, dwa razy od-
zyskiwała swój byt. Wyzwoliła się od Maurów,
wyswobodziła od Francuzów. Bo narody nie giną.

W strasznej walce, na śmierć i życie, którą
toczyła o swą niepodległość z „Bogiem Wojny“,
polakom, w orszaku tamtego, przypadła rola, ironją
losu — wojować z narodem, który bronił swej swo-
body i wiary. Ale, jak przebaczyć trzeba było
temu, który pułki polskie wysłał na San Domingo,
który na półwyspie pirenejskim karciał odporne...

Kapitulacya pod Baylen rozplomieniła nadzieje
Junty hiszpańskiej, w szal wściekłości wprowadziła
korsykańina. Dwudziestotysięczny korpus francuski
generała Dupont'a, otoczony przemagającemi siłami
nieprzyjacielskimi, trawiony głodem i chorobą, pod-
dał się. Poddał się z łupem złotych monstrancyi,
zrabowanych w Cordovie, z tysiącami wozów, ob-
juczonych zdobyczą, z setkami odstępnych pięk-
ności, co poniewoli czy dobrowolnie, poszły za
zwycięzcami... Świętokradców wrzucono w Kadyk-
sie na galery. A Hiszpanja rozgrzmiała echem:
zwycięstwo! Zawrzał Madryt. Nowo upieczony
król, brat Napoleona, Józef I, uciekł.

Ale Pan Europy czuwał. Z błyskawiczną szyb-
kością przekracza sam Pireneje, z potężną armją.
Idą z nim Ney, Lefèbore, Victor, Soult, Lannes,
Gouvion, Jourdan, Bessières. Idą pułki legji nad-
wiślańskiej. Jakby przygrywka do pochodu Wiel-
kiej armji. Pomniejsze oddziały Hiszpanów rozbite,
zniesione, pierzchają. Pod Tudelą próbuje oporu Ca-
stanios, zwycięzca z pod Baylen, wraz ze słynnym
Palafox'em, na czele siedemdziesięciu tysięcy ludzi.
Oficerów i pieniędzy dostarczyła Anglja. Darem-
ne wysiłki. Marszałkowie francuscy współzawod-
niczą w pośpiechu, by zmasać hańbę Dupont'a.

Tu walczy Chłopicki, tu odznacza się dzielna szarżą siódmy pułk ułanów Konopki.

Wstęp do szarży jazdy polskiej pod Somosierra.

Bo ten szczyt Guadarramy stoi jeszcze w drodze zwycięskiemu pochodowi, do stolicy kraju. Wąwóz wśród skał, czterekroć załamujący się, — oto jedyne przejście. Obsadził je i wzgórze sąsiednie jeden z owych partyzantów, z których wojna zrobiła wodzów. Don Benito San Juan, z dwudziestutysiącami guerilas'ów, zda się, niezwykłonych w tej pozycji. Ma zresztą pod swą wodzą też wojska regularne, ma karabiny angielskie, lepsze od francuskich, ma armaty. I urąga — Napoleonowi.

Pułk za pułkiem idzie do szturm — na skałę. Wraca, zdziśiatkowany morderczym ogniem niepochwytnego, niewidzialnego niemal przeciwnika, odbijając się od stóp wzgórze, jak fala morska wraca złamana, bezsilna od brzegu. Chwieją się orły francuskie...

— Obejść pozycję, która nie do zdobycia — radzą marszałkowie Francji.

— Polacy ją zdobędą — rozstrzyga cesarz.

Trzeci szwadron pułku szwoleżerów gwardji, który pod Wincentym Krasieńskim bierze udział „w przechadzce do Madrytu“, dostępuje zaszczytu całopalenia, usłania sobą pomostu z trupów, po których przejedzie rydwan tryumfalny Imperatora. Przejedzie, jeżeli tamci przejdą. Jeżeli baterje armat, ustawionych na każdym załomie wąwozu, płucząc go deszczem ognistym, pozostawią takich, którzy w samo płomień ognia, w piec żarzący skoczą i głównie piekące roztrąca, stratują kopytami rumaków swych...

— *Vive l'empereur!*

Szwadron rusza. Studwudziestu ludzi na dwadzieścia tysięcy. Z podziwem patrzy się na nich armja, umilkła stara gwardya.

Na śmierć pewną idą.

Cesarz rozkaz dał. Powtórzył go marszałek Bessières, książę Istrii, szef gwardji cesarskiej, generałowi kawalerji Montbrun, co z Muratem współzawodniczy w sławie jeździeckiej.

Czasem, bywa, jenerałowie sami, z dobytym pałaszem w ręku, czy, jak król Neapolu, z szpicrutką tylko, wiodą.

Ale tę szarżę wiódł szef szwadronu, Jan Kozielski.

A za nim kilku młodych oficerów i setka chłopów, zebranych z polskich błoni. Bo, jak nam powtarzają kronikarze, szwadron ów za najpośledniejszy w pułku uchodził, w którym na ogół służyć, za zaszczyt uważano, tak iż synowie najpiersiwszych rodzin się do niego cisnęli. Ale w trzecim szwadronie, z formacji, najwięcej było chłopstwa.

Przecież na równi z tymi, w których tętniła krew bohaterskich pokoleń, i za nimi, oficerami swymi, wiernie w ślad wałą, z nieulekłą pierśią, Maćki i Bartki w piekielną gardziel wąwozu, ślub szlachty z ludem krwią pieczętując.

I spłynął krwią wąwóz i krwią armaty, co zda się, zastygły w przerażeniu, gdy na karki kanonierów stoczyła się, jak z pod ziemi wyrosła, w górę się tocząc, lawina ludzi i koni.

Jednak przedtem działa zdążyły skosić żniwo śmierci.

A tych, co ocaleli, niby cudem uratowanych powtarzano nazwiska.

Zadźwiękło na armję całą, na Hiszpanję, Francję, Polskę—Europę, jedno nazwisko, którego uczyli się marszałkowie, które powtarzały z pod bermyc wąsate wargi grenadjerów, przepisywały raporty, podpowiadali sobie towarzysze broni, przekazały matki dzieciom: Andrzej Niegolewski.

Dwudziestoletni, z tyłuż ran ociekający, porucznik.

Najdzielniejszy z najdzielniejszych, przed którymi odkrył głowę Napoleon:— *Honneur aux braves des braves!*

Próżnem byłoby usiłować wytłumaczyć, dla czego imię jego zagasiło sławę innych, zapewno równie dzielnych, owych polskich Spartanów, którzy hiszpańskie Termopile zdobyli, przyćmiewając zasługę zwierzchnika, Kozielskiego, innych, Dżewanowskiego, Krasieńskiego Piotra i szereg nazwisk wiadomych nam uczestników bohaterskiego boju.

Próżnem i bezcelowem.

Czy młodość jego, czy waleczność, wybijając się jeszcze nad tamtych, uwagę na niego szczególnie zwróciły i skupiły,—w każdym razie imię jego było, pozostało i jest symbolem męstwa polskiego.

Z symbolów składa się historia.

Nie jest ona czczem wyliczeniem dat i faktów. Nie wystarcza ważyć fakty na szali podług korzyści czy strat, jakie bezpośrednio i namacalnie przyniosły narodowi. Częstoż czyn, sam w sobie mniejszej może od innych wagi, słusznie utrwalił się w pamięci pokoleń jako wytyczny dla przyszłości, jako widomie i obrazowo wcielający to, czego od siebie i od swoich żądamy, co uwielbiamy, za czem tęsknimy.

Dla tego nad inne, ważniejsze w skutkach zwycięstwa przechowaliśmy z pietyzmem w pamięci husarskie z pod Kirnholmu kopje, kosy racławickie i wąwóz Somosierry. Dla tego w skarbcu pamiętek narodowych, obok beret królewskich, buław hetmańskich i pieczęci kanclerskich, promieniuje słowo Zawiszy, Chrzanowskiej—obrona Trembowli i imię Niegolewskiego.

Andrzej Niegolewski urodził się w roku 1785, w odwiecznej siedzibie prastarego rodu Grzymaliów, Niegolewie, które już w XVI-ym wieku rejestrzy poborowe wymieniają, jako własność Niegolewskiego Jakuba. Gdy po bitwie jenańskiej formują się w Poznaniu pułki polskie, Andrzej należy, z kwiatem młodzieży wielkopolskiej, do straży przybocznej wielkiego cesarza. Później przeniesiony, jako podporucznik do strzelców konnych, walczy pod Eylau i Friedlandem i bierze udział w oblężeniu Gdańska.

Już jako porucznika zastaje go pamiętny dzień 30 listopada 1808 roku.

Somosierra...

Napoleon własną ręką przypina mu krzyż legji.

W kampanji moskiewskiej Niegolewski odznaczył się jeszcze pod Ostrowem i Witebskiem, później walczył w bitwach pod Budziszynem, Dreznem, Lipskiem.

Piękna, bohaterska postać.

Jako człowiek, nieskalany charakter, otoczony ogólnym szacunkiem i sympatją. Pułkownik Andrzej Niegolewski umarł w roku 1857-ym.

Ówczesna generacja dzielnych ludzi nie tylko szablą umiała władać. A nawet zaprząwszy się czasu pokoju do pług, nieograniczała się na pracy domowej. Gdy Thiers'owi spodobało się uszczuplić zasługi oręza polskiego, Niegolewski złożył świadectwo prawdzie w opisie wypadków „Les Polonais à Somo-Sierra en Espagne“.

Ale pozostało po nim jeszcze inne ciekawe a wymowne świadectwo służby publicznej, mianowicie praca pod tytułem „Wola królewska i jej

wykonanie w Wielkim Księstwie Poznańskim“. Posłował też, wysłany zaufaniem współziomków, do sejmu prowincjonalnego i do pruskiego Landtagu.

On też jeden z pierwszych zrozumiał, jak ważnym, w zmienionych warunkach bytu polskiego, jest zachowanie ziemi w rękach rodzin polskich. Zrobił z Niegolewa ordynację, która jest po dziś dzień, i to tak zwanym minoratem, przechodzącym stale na najmłodszego z synów.

Andrzej był ojcem Władysława, najwybitniejszego parlamentarjusza w porozbiorowej historii Ks. Poznańskiego.

Rodzina Niegolewskich kwitnie dzisiaj w Poznaniu w Felicjanie, znanym, wybitnym pośle do parlamentu niemieckiego, Kazimierzu i obecnym ordynacie, Stanisławie, pielęgnując i podtrzymując wiernie i skrzętnie piękną tradycję rodzinną.

W tradycji tej rodziny leży, że zawsze uchodziła za „czerwoną“;—jeden w drugiego cierpią na „chłopomanję“. Władysław, komuś pociągającemu nosem na taką „manję“, odpowiedział, że najmilszym perfumem jest mu zapach chłopskich kożuchów. Ludowi poświęcili najusilniejszą troskę dziad, syn i wnuki.

Tędy droga w przyszłość. Jeżeli nie uświadomimy ludu w czas, to źle z nami.

Droga trudna i mozolna. Ale — jedyna.

Dziećmi uczyliśmy się na pamięć wiersza Goreckiego:

Gdzie wawóz Somo skałami się jeży,
Jest wąskie przejście, jak na szyk rycerzy...

Autor „Historji z dawnych lat“.

WALERYAN SNIECHÓRSKI

BIURO KOMISOWE I^{GO} RZĘDU

ZATWIERDZONE PRZEZ MINISTERJUM, KAUCJONOWANE

□ □ □ WARSZAWA, ULICA KRÓLEWSKA Nr 29 □ □ □

PRZEPROWADZA:

Sprzedaż — Kupno — dzierżawy majątków ziemskich, domów, placów, willi, fabryk przemysłowych i akcyjnych przedsiębiorstw, wogóle różnego rodzaju nieruchomości. Parcelację majątków ziemskich, oraz miejskich i podmiejskich placów i posiadłości. Lokatę kapitałów na hypoteki. Wyrabianie kredytów handlowych i przemysłowych. Spółki hadlowo-przemysłowe, udziałowe oooooo i akcyjne Towarzystwa. Wogóle najszersze pośrednictwo. oooooo

MAJĄTKI ZIEMSKIE, DOMY I WILLE SĄ ZAWSZE DO SPRZEDANIA.

WALERYAN SNIECHÓRSKI, ULICA KRÓLEWSKA Nr 29.

MOTYWY LATA.

I.

Wstaje dzionek letni, złoty w blaskach skrzących ros,
Nad łanami tęsknie płynie szcęk żelaznych kos,
ta dana,
szcęk żelaznych kos.

Hej falami, hej falami pada zbożny kłos,
ta dana,
modlitewny głos.

Łany, łany hej, ległyście na ofiarny stos,
Lecz śmierć wasza — drugim życie, — taki to już los,
ta dana,
taki to już los.

II.

Na pola nasze, pola,
Gdzie złoty marzy łan
Cmętarna wyszła dola,
Co krew nam toczy z ran.

I śniły zbożne niwy,
Hej, nieprześniony sen,
Ludzkości był szczęśliwy
Gdy nędza pójdzie hen.

Hej śniły zbożne niwy
Stogów bogaty plon,
Dostatków złote dziwy,
Podarek żrących gron.

Wtem burza skądś się zrywa
Grad tłucze łany zbóż,
Hej prysła baśń zwodliwa
Niwy nie śniły już.

BERGEL RAJMUND.

DZIEWCZYNO!

Śmieję się dziewczyno, póki w szczęście wierzysz,
Niechaj wciąż srebrne fale śmiechu płyną
Z ust twych, co nęcą czerwonym koralem,
Śmieję się dziewczyno!..

Śpiewaj dziewczyno, póki sercom ufasz,
Niechaj wciąż piosnki wesole z ust płyną
I z serca, które nie zaznało bólu...
Śpiewaj dziewczyno!

Bo skargi łzawie i piosenki smutne
Z ust i serduszka niedługo popłyną...
Póki w świat wierzysz, przyszłością się łudzisz,
Ciesz się, dziewczyno!

MARTA SKIRMUNTÓWNA.

TO NIE...

To nie skrzypiec tęskne tony,
Nie fujarek to jest śpiew,
To nie szumi las zielony,
Nie zawodzi wiatru wiew;
To nie szepty róż, ni zioła,
Nie słowika to głos drga,
Ale serce moje woła...
Co do ciebie zdali łka!

MARTA SKIRMUNTÓWNA.

JESIEŃ.

Rozesłałaś swe warkoczki
Po ugorach, srebrną przędzą.
Słońce płynie nie ochocze,
W górze gdzieś żórawie gędzą.

Przemieniłaś letnie złoto
W żółto-rude, smutne blaski!
Poisz ziemię ciągłą słońcą,
Błękit stroisz w chmurne maski.

Żalność, nuda: to twoje sny,
Bogactwem: smętne nastroje,
Modlitwą: wichru jęk i łzy!

Jednako gra serce twoje!
Światło li, wodę nieba szłą,
Ty zawsze nuczysz piosnkę swą.

KAZIMIERZ WIAKOWSKI.

MELANCHOLJA.

Płaczą włosy tęsknej brzozy —
Hen... samotna wierzba stoi...
Złote rżyska senność morzy,
Pajęczyny płyną zwoje...

Ani jęk, ni cicha skarga
Na olbrzymim ziemi łanie,
Tylko coś tak sercem targa,
Jakby jakieś żałowanie:

Wleczę duszę przez ugory,
Kędy smutek cichy, łzawy,
Bładolicy, jak upiory,
Zwiędłe kwiaty, zeschnięte trawy...

Hej! przekłętę żałowanie!
Śmierci nie da, życie złamie —
I na wieki już zostanie
W ludzkiej duszy, smutnym Chramie...

KAZIMIERZ WIAKOWSKI.

ODPOWIEDZI REDAKCJI.

Hr. Szembekowi w Alwernji: Fotografii nie mamy. Prosimy o przysłanie ich na papierze świecącym. Postaramy się zamieścić w najbliższym numerze.

Przenumeracje: Dwa z przesłanych wierszy zamieściliśmy. Reszta nie nadaje się do druku. Prosimy o nadesłanie nowych.

Hr. Wielopolskiemu w Borodinie: Przesłane fotografie o charakterze zimowym zamieścimy w odpowiednim czasie.

WYSTAWA ROLNICZA W WĘGROWIE.

Staraniem Okręgowego Tow. Roln. Siedleckiego odbędzie się w dniu 24 Września jednodniowy pokaz inwentarza żywego, płodów rolnych, oraz wyrobów drobnego przemysłu włościańskiego; maszyn i narzędzi rolniczych. Nagrody pieniężne w sumie około 300 rb. będą przyznane wyłącznie mniejszej własności. Opłat żadnych wystawcy nie ponoszą.